

TADEUSZ NOWAKOWSKI

SYN
ZADŻUMIONYCH

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1959

SYN ZADŻUMIONYCH

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Nr 12952

TADEUSZ NOWAKOWSKI

SYN ZADŻUMIONYCH

Copyright by „Kultura”,
Paris, 1959.

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1959

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom XXXIX

Imprimé en France.

Wydawca: Edition et Librairie «Libella»,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4').

Przekłute Bochum!

Wieczorny chłód, przesycony dymem i benzyną, wdarł się do pokoju. I znowu mgła. Arturek zamknął okno. W tym strasznym mieście trucizna unosi się w powietrzu.

— Żyjemy w komorze gazowej! — powiedział.

— Niesmaczne porównanie! — skarcił go Paps. — Sam już nie wiesz co pleciesz...

Z Papsem od kilku dni ma na pieńku. Ściślej mówiąc, od tego wieczoru, gdy uśmiech Papsa, nie wiadomo dlaczego, skojarzył mu się z małpim grymasem Jacobiego.

To było tak. Paps naszedł go wtedy z tyłu i zniecka, w filcowych cicholazach. Gruby dywan do reszty przygłuszył jego kocie kroki. Już te kroki nie były godne Papsa!

Mimo zaskoczenia Arturek książki za siebie nie schował. Sumienie miał czyste. Nie oddawał się zakazanej lekturze. Nie czytał, u licha, pornografii, ale książkę co się zowie, poważne, pięćset stronicowe dzieło literackie...

— Co czytasz? — roześmiał się Paps. — Idę o zakład, żeś zwędził Dekameron z mojej szafy...

I to powiedzenie nie było godne Papsa.

— Nie, to *Der Untertan* Henryka Manna.

Paps aż zastygł ze zdumienia i na moment zrobił się podobny do Studienrata Jacobiego. Tak samo palce rozczapierzył w powietrzu. Tak samo wyszczerzył zęby.

— Lektura nie dla ciebie, syneczku. Paszkwil. Żółć. Pióro maczane w nieczystym atramencie — mówił. — Tendencja niszczycielska. Przejaskrawione od początku do końca. Co gorsza, pod wieczór życia autor tej książki stał się narzędziem w ręku...

— ...w czym ręku? — zdziwił się Arturek. — Profesor Brandt powiedział, że to klucz do poznania naszej duszy narodowej.

— Klucz? — roześmiał się Paps gorzko. — Wytrych! Złodziejski wytrych! A ten wasz Brandt, to też jeden z tych, którzy stają dzisiaj do wyprzedaży najcenniejszych wartości...

„Wyprzedaż najcenniejszych wartości”. Cóż to właściwie znaczy? A brzmi wręcz teatralnie. Takich utuczonych zwrotów najchętniej używa Studienrat Jacobi. Z trzeciego rzędu ławek można oglądać tego siwego bęcwała cztery razy w tygodniu. Popisuje się, zgrywa się bez litości. Uczniów traktuje jak widownię prowincjonalnego teatryku. Podium, na którym rytmicznie, w takt wierszy, kołysze się w kolanach, zastępuje mu scenę. Po każdym występie łasi się, wyczekuje oklasków, a pod koniec lekcji, na dźwięk dzwonka, zastyga w pożegnalnej pozie, pokazując w uśmiechu całą klawiaturę żółtych zębów.

Pamięć ma przy tym, przyznać trzeba, fenomenalną. Niesety, jest to pamięć czysto podniebienna. Obżartuch Jacobi potrafi powiedzieć, nawet po wielu latach, co gdzie i kiedy zjadł. Obdarzony pamięcią żołądek zastępuje mu kalendarzyk historyczny.

— 23 sierpnia 39-go! — powiedział kiedyś z błyskiem w oczach — podpisanie paktu między Berlinem a Moskwą. Nigdy nie zapomnę tej daty. Byłem wtedy w Monachium, na zjeździe germanistów. O drugiej w nocy pojechaliśmy na Schwabing, do „Siegessägen”. Mówię wam: kurczaczek prosto z rożna, chrupki, soczysty, lepki a do tego kufel mocnego „Salvatora”...

Arturek przysłuchiwał mu się zawsze z największą niechęcią. Nie znoślił zwrotów nic nie znaczących, przypominających wydeptaną słomiankę:

— Poezja Hölderlina przeświecona jest blaskiem Autentycznej Sztuki...

— Utwory Rilkego nacechowane są powagą Wewnętrznego Przeżycia...

Albo taka guma do żucia, obrócona w ustach po sto razy:

— Jakże ubogo byłoby w naszej poezji bez harmonijnych strof Olimpijczyka z Weimaru!...

— Cóż byśmy robili bez dzieła tej miary co „Faust”?
(— Popełnilibyśmy samobójstwo! — jęknął jakiś wesolek w kącie).

— Novalis, niedościgniony piewca smutku i zadumy, wzniósł się w sferę Ducha... wysoko... wysoko...

— Schiller zaś najgłębiej miłował Wolność, Prawdę i Piękno...

A banalny Studienrat najgłębiej miłował Podarki, i to nie te od Ducha Świętego, ale od zwykłych śmiertelników. Przed rokiem głupkowaty Xaver, najgorszy uczeń w klasie, syn bogatego hurtownika, „zrobił go na szaro”. Cud prawdziwy, że się ta historia nie rozeszła po mieście! Wyrwany z drzemki Xaver przez cztery minuty nie mógł sobie przypomnieć daty urodzin Friedricha Gottlieba Klopstocka, a w piątej minucie w przypływie rozpaczliwej zawołał:

— Herr Studienrat! Tatuś każe się pięknie kłaniać i zapytuje czy przysłać nową skrzynkę koniaku?

Po tych słowach izba szkolnaomal nie poszła w drzazgi, tak silny był wybuch śmiechu. Ale Jacobi, stary wróbel, jakoś się nie spieszył eksplozją złośliwej radości. Uniósł kościste palce w górę; rzekłbyś: dyrygent orkiestry, zasłonił nimi połowę portretu Prezydenta Republiki Związkowej i jakby się nic nie stało — zaczął deklamować:

„...Göttin Freude, du selbst! dich, wir empfinden dich!...

I już kołysze się na bocianich nogach, rytm gumowym obcasem wybija.

„...ja, du warest es selbst, Schwester der Menschlichkeit”...

Po czym zastąpił efektownie w powietrzu; spojrzcie na jego palce rozczapierzone na tle podbródków Heussa i na poślizgniętą klawiaturę rozdziawioną od ucha do ucha. Błazeńsko nadęty Jacobi, Kabotyn Doskonały, zawodowy obrzydacz piękna, zawsze z patriotyczną lemoniadką w ustach, i zawsze na pozłacanych szcudłach.

Pastor Pfirsich mówi, że drugą naturą ducha nieczystego jest wieczny plagiat. Nazywa diabła „patronem imitatorów”. Jeśli prawdą jest, że w diable, naśladowcy doskonałym, nie ma nic twórczego, Studienrat Jacobi musi być synem Belzebuba. O Jacobim krążą pogłoski, że w t e d y wydawał miesięcznik poświęcony tradycjom starogermańskim pod nazwą „Walhalla żyje”. Jeden z chłopców przyniósł kiedyś do klasy starą gazetę, bodaj sprzed dwudziestu lat, w której Jacobi w dziale ogłoszeń rodzinnych donosił za dumą, że jego żona wydała na świat „nowego żołnierza dla Wodza”. Poza tym wszystkie dziatki Studienrata noszą imiona zgodne z ideologią „Walhalli”: Heidrun, Werburga i Teutobald... — Czy to możliwe, żeby nasi rodzice byli wtedy takimi dziećmi? — dziwili się chłopcy w klasie.

Jest tylko jeden ptak znakomity w klatce z belframami. Orzeł czupurny, historyk Brandt. Ale Paps go nie lubi...

Ciekawe dlaczego? Podobno „wyprzedaż najcenniejszych wartości”...

Jakie wartości, podług Papsa, są najcenniejsze? I ten nieoczekiwany atak na *Untertana*, książkę o czasach wilhelmińskich! „Pióro maczane w nieczystym atramencie”? Nic podobnego. To świetna satyra. A takich „poddanych”, zastrachanych, a przy nadarżającej się sposobności — drapieżnych złoczyńców, jak to pruskie ładaco bohater powieści, Diederich Hessling, nie ma co żałować. W każdym Niemczech powinno ich być jak najmniej. I tak za wielu Studienratów Jacobich straszy na świecie. Złotousty pastor Pfirsich woła co niedzieli w zborze: „Rodzice, nie zniecie swoich dzieci, nie zaglądacie do ich serc i umysłów, i w tym tkwi zarodek zła jutrzejszego!” Ale może należałoby odwrócić te słowa? Chłopcy i dziewczęta, nie zniecie swoich rodziców, nie zaglądacie do ich serc i umysłów, i w tym właśnie...”. Jedno jest pewne: Paps nie powinien robić konkurencji frazesowiczom pokroju Jacobiego. „Tendencja niszczyielska!” — nie mógł się uspokoić — „Wyprzedaż wartości”... A jakież

to, zacny Papsie, wartości niszczy we mnie Henryk Mann i jego książka sprzed lat z górą czterdziestu?

Arturek ciężko westchnął. Przyszło mu na myśl, że nie zna własnego ojca.

Był wtedy dzieckiem, ale pamięta ten dzień dokładnie.

Pobiegli z matką na dworzec, przepychali się przez gęsty tłum. Gdy pociąg wjechał na stację, dyrygent kopalnianej orkiestry, wąsaty dryblas w kaszkiecie, podniósł pałeczkę w górę... Chłopiec ucieszył się, że zaraz lunie muzyka z zawijanych trąb, ale w tej samej chwili podbiegł do kapelmistrza nieduży człowieczek w surducie (dopiero później dowiedział się, że był to pastor Pfirsich) i zaczął wołać:

— Proszę nie grać powitalnego marsza. Pamiętajcie, że prze-graliśmy wojnę. Ukłękniemy lepiej i prosimy Boga, żeby nam przebaczył!...

Kapelmistrz poczerwieniał na twarzy.

— Bochum jest miastem katolickim, żaden pastor nie będzie nami komenderował! *Gehen Sie weiter!*

Górnicy także spoglądali na intruza z niechęcią, ale już zebrane na peronie kobiety zaczęły wołać „Nie chcemy marszów!”, klękały na ziemi i pociągały mężczyzn za kapoty.

Arturek spostrzegł, że z okien wjeżdżającego na stację pociągu wychylają się chude, nieogolone twarze. Dziewczęta w białych kitlach z opaskami Czerwonego Krzyża na rękawie podbiegły z kwiatami. Orkiestra jednak zaczęła grać. Ludzie krzyczeli, klaskali, śmiali się i płakali. Jakaś staruszka biegła wzdłuż pociągu z przekrzywionym kapeluszem, wołając płaczliwym głosem: — „Gdzie jest mój syn Otto? Otto, odezwij się! Otto, gdzie jesteś?”

Matka szarpnęła go za rękę. Postyszał jej krzyk:

— Tam! W drugim wagonie!

W chwilę później, w obłoku pary, zobaczył wysokiego mężczyznę w czapce ze złamanym daszkiem. Poczuł jego kwaśny oddech na oczach. Nie ogolone policzki tarły mu twarz z całej siły. Miał ochotę krzyczeć z bólu.

— To jest nasz Paps! — postyszał głos matki, i w brzdach nachylonej nad sobą twarzy zobaczył brud. — Pocałuj ojca!

Z głębi tamtego czasu wyłania się jeszcze jedno wspomnienie. Dłoń pokryta jasnymi włoskami. Oczy zmrużone ze złości. I ból w palcach...

Przeglądał grubą książkę z obrazkami, gdy wypadła z niej pominięta fotografia. Podeszedł do okna, by przypatrzeć się zdjęciu. Dostrzegł kilkanaście osób w mundurach i w cywilu. A w samym środku Paps! Uśmiechnięty, z rękami w białym kitlu, stoi u wejścia do dużego budynku. Jakaś fabryka... Na białym szyldzie czarny napis. Ale nie „Sanitas”, tylko inny, dłuższy... Dwa słowa połączone ze sobą dziwną, nieznaną literką...

— Co też kawaler zwędził mi z biurka? — słyszy rozgnie-

wany głos nad uchem. — Nie wolno myszkować po szufladach! Spamiętaj sobie! Masz po łapie! Masz!...

— Nie bij go! — prosi mama — to jeszcze dziecko...

Tak, póki żyła mama, w domu było ciepło i jasno. Słońce świeciło w każdym oknie i na każdym stole stała waza pełna bzu. Z różowego saloniku wybiegały na ogród skoczne dźwięki fortepianu. Miał nieraz ochotę szukać porozrzucanych klawiszy wśród kwiatów. W całym mieszkaniu unosił się cieniutki, zawsze wesoły głos:

„Wenn der Frühling kommt mit dem Sonnenschein”...

Albo:

„Ich bin die Prinzessin Ilse,

und wohne im Ilsenstein...”

Któregoś dnia zapadło wieko fortepianu, i chłopiec odkrył, że mieszka w brzydkim mieście. Szkoła z czerwonych cegieł, ogrodzona czarnymi sztachetami, wygląda jak więzienie, a nawet teatr, wysepka piękna, ściany ma przykopczone sadzą. Ludzie chodzą po ulicach szybko, ciężarówki wzbijają rdzawy kurz, dudnią niewidoczne młoty, a co nocy lokomotywy na bocznicach i dworcach nawołują się przejmującym skowytom. Wycie smutniejsze od psiego nie opuszcza miasta na chwilę. I ten straszny, śmiercią ziejący obrazek nad łóżkiem! Już nieraz próbował go zdjąć ze ściany. „Nie rusz! — nie pozwala Paps — mama go zawiesiła, niech wisi!” A jest na nim scena, która grzybem strachu rozrosnąć się musi w umyśle każdego wrażliwego dziecka, oleodruk biblijny z zagniewanego świata. Na stosie drzewa chłopaczek związany, z głową kędzierzawą w tył odchyloną, a nad nim ojciec zawzięty z nożem wzniesionym do ciosu...

— Mopsik, delikacik, mimoza — naśmiewa się gospodyni Emma. — Panienska nam w domu rośnie, a przydałby się *Halbstarker*...

A to pewnie dlatego, że Arturek co sobotę zamyka okiennicę od ulicy, by nie słyszeć pijackich wrzasków o północy. Jakże straszne są dni wypłaty, gdy ulicami przeciągają ze śpiewem watahy podchmielonych górników, a ostre przekleństwa wpadają do środka pokoju jak cegły przez rozbite okno. A w niedzielę, zamiast pobiec z tysiącami rówieśników na pobliski stadion na mecz piłki nożnej i krzyczeć „Szy-ma-niak! Szy-ma-niak!”, zasztywał się przed potężnym rykiem tłumu w głąb ogrodowej altany i tam jeszcze zarzucał marynarkę na głowę. On jeden chyba z całej szkoły nie gryzł pięści przy odbiorniku radiowym, gdy jedenastka Niemiec przegrała na mistrzostwach świata ze Szwecją. Żaloba narodowa w całym kraju, a on nawet się nie zmartwił. A przecież odkąd wielki dobroczyńca ludzkości, minister szkolnictwa na Północną Nadrenię i Westfalię, zaprowadził pięciodniowy tydzień pracy w szkołach i surowo zakazał odrabiania lekcji w domu, nikt już nie piecuchuje w czterech ścianach. Można teraz całymi godzinami podglądać za miastem sławnych

mistrzów wykopu z dortmundzkiej „Borussii” lub „Rot-Weiss, Essen”.

— Cóż z tego, że jesteś ponad wiek rozwinięty i poważny, mój Turciu, kiedyś za miękki! — groził mu Paps pół żartem, pół na serio. — To po matce, po wiedeńskich Praxmeyerach, bo Ostermannowie zawsze byli twardzi. W życiu, syneczku, trzeba gryźć, kopać, bić na odlew, a nie rozmarzać się w altanie. Marzyciele giną w tłoku. Pamiętaj, że żyjemy w epoce boksu. Czaśy cierpiących Werterów należą do przeszłości!

— Nienawidzę tłumu, brzydzę się boksem!

— Za dużo czytasz, za dużo myślisz, głowa ci jeszcze pęknie!

Chłopiec w milczeniu spoglądał na ojca. Duża, okrągła twarz wylaniała się ze słodkawej woni cygar. Wyblakłe oczy, jakby schowane w fałdach skóry. Policzki nacętkowane przekrwionymi żyłkami. A nad jasno rudymi brwiami, jak rzeki i ich dopływy, ukazywały się bruzdy i zmarszczki. Twarz najbliższej osoby, a patrzył na nią nieraz jak na mapę nieznanego lądu.

Aż przyszedł dzień, który ich zbliżył ku sobie. W czasie jednej z wielu podróży Papsa przytrafił się wielki kłopot: „Plamka”, którą mama przywiozła kiedyś z Wiednia, zapadła na tajemniczą chorobę. Targana dreszczem jamniczka, z przerażeniem w zwężonych ślepiach, zdławionym skomleniem wzywała szybkiego ratunku. Nikogo nie było w domu. Paps pod Hamburgiem, Emma pobiegła na nieszpory. Chłopiec owinał psa w pulower, wziął na rękę jak chore dziecko i zawiózł takśówką do najbliższej przychodni. Po zastrzyku i pastylce „Plamka” poczuła się lepiej, dreszcze ustały. Gdy wyjął z kieszeni banknot, weterynarz odmówił przyjęcia pieniędzy.

— Pies dyrektora Ostermanna — powiedział — jest naszym honorowym pacjentem!

— Dlaczego? — zdziwił się Arturek.

— Bo dyrektor Ostermann ufundował naszą klinikę. Ukłony dla tatusia!

Arturek wyszedł z przychodni wyższy co najmniej o trzy centymetry.

— Nic mi o tym nie wspomniałeś — powiedział Papsowi nazajutrz.

— Ot, drobiazg — machnął ręką. — Nieraz trzeba coś dobrego zrobić w życiu. Gdy umrę — zażartował — przynajmniej psy i koty z całego Bochum zbiegną się na mój pogrzeb...

To znowu — jakiś czas później, również podczas nieobecności Papsa, stuka do drzwi trzech dryblasów.

— Czy zastaliśmy pana dyrektora Ostermanna w domu?

— Nie ma! W podróży — Emma wsuwa fartuchem opięte brzuszysko między drzwi. — A panowie w jakiej sprawie?

— Przychodzimy podziękować osobiście — szurają nogami — za te trzy stypendia na chemii, co je pan dyrektor dla nas ufundował...

I o tym Paps także nie wspomniał ani razu.

— Cichy dobroczyńca — mówi gospodyni Emma, która po śmierci mamy prowadzi dom. — Pomaga ludziom gdzie może. Dwadzieścia paczek z ubraniami wysyłamy co miesiąc do nieznanym biedaków we wschodniej strefie.

— I ja nic o tym nie wiem? — zdziwił się Arturek.

— A bo pan dyrektor tak przykazał: „Nie mówcie nic Turciowi. Nie chciałbym, aby chłopiec myślał, że Niemcy po tamtej stronie, to kupa nędzarzy. Obdartusów się nie lubi... I tak wielu młodym „republikanom związkowym” nad Renem, powiedział pan dyrektor, tamta część naszej ojczyzny kojarzy się z dołem na odpadki...”

I wreszcie: ów niezapomniany, wielkanocny wyjazd pod Herne, na otwarcie Domu Dziecka. Ledwie wysiedli z samochodu, otoczyły ich dziesiątki uśmiechniętych ludzi, dzieciarnia podbiegła z kwiatami. Potem Papsowi wręczono nożyczki. Rozległ się trzask aparatów fotograficznych, gruchnęły oklaski. Paps przeciął wstążkę na progu nowiutkiego, jeszcze tynkiem i farbą pachnącego budynku i wygłosił krótkie przemówienie. Nawet nie przypuszczał, że Paps umie tak ładnie mówić.

— Zasychają rany — powiedział. — Na pobojoisku zieleni się trawa. Na zasypanych rowach znowu rosną kwiaty. A z gruzów powstają nowe domy. Nowe dachy, nowe ściany, nowe życie. Oby i nowi, lepsi ludzie! Całą naszą wiarę, nadzieję i miłość oddajemy w ręce niemieckich dzieci. Oby ich życie było lepsze i piękniejsze od naszego!

Znowu długie, serdeczne oklaski, Papsowi ściskają ręce.

— Pan dyrektor Ostermann, dzięki któremu powstał ten dom... — zawołała jakaś niska, otyła kobieta w białym kitlu — niech żyje!

Po powrocie do domu, życząc ojcu dobrej nocy, bąknął zacierwieniony:

— Jestem z ciebie, Papsie, bardzo dumny...

Stare dzieje, sprzed kilku lat... Od tego czasu pogląd na Papsa ma ustalony: szlachetny, zacny człowiek — stwierdza z uznaniem — ale nie zawsze czuje i myśli jak ja... Ale czy musi czuć i myśleć jak ja? — zastanawia się nieraz. — Oczywiście, byłoby lepiej... Jeśli tak nie jest, trudno! Więcej tolerancji wobec własnego ojca, młody człowieku!

Dawniej dość często uciekali z miasta w zieleń. Mama zawsze umiała znaleźć jakiś zaczarowany zakątek, wysepkę buków lub brzoze, spoza których nie było widać ani kominów ani kabli wysokiego napięcia. Na przykład z początkiem lata zostawiali za sobą hałaśliwą, tysiącami opon pokreśloną szosę Wupertal — Essen, zapuszczali się na piechotę w dolinę Neviges, między strumyki zbiegające ku Ruhrze. Z dala od hałdy, z dala od zwalisk wypalonej szlaki. Razem z rozmodlonym tłumem pieł się na Górę Maryjną pod baldachimem śpiewu, nie przydymionego słońca i wonnych kadzideł. Jakże inny był wtedy

świat! Jeszcze dziś słyszy czasem na spodzie snu zawodzący śpiew bab w czarnych chustach i starców z konopiastymi wąsiskami. Olbrzymie sztandary z orłem i krzyżem, chorążowie w cylindrach, złote feretrony, święci z gipsu z aureolą wokół której migotały druciane gwiazdki, orkiestra górników wysypująca muzykę z olbrzymich trąb w puszystą trawę, kazanie pod rozłożystym dębem w jakimś obcym, śpiewnym języku, nieznanym ani mamie, Wiedence z pochodzenia, ani jemu, urodzonemu Westfalakowi... Czy nic nie zostało po tej wyprawie w głąb innego świata? Został modlitewnik, kupiony na pamiątkę u franciszkanów, i tęsknota do czegoś nieznanego...

Paps znowu jest w drodze. Odkąd rozbudował sieć przedstawicielstw „Sanitasu” od Hamburga po Monachium i od Hanoweru po Saarbrücken, bywa coraz rzadszym gościem w domu. Herr Direktor Ostermann, nasz sublokator! Willa przy Gartenstrasse od dawna nie jest ogniskiem rodzinnej radości.

— Pan dyrektor powinien do swego wozu wbudować jeszcze łóżko, wannę i biurko — łasi się Emma. — Jego dom, to Mercedeses...

— Przy mojej tuszy — wzdycha Paps — zdrowiej byłoby *per pedes*...

Co drugi, trzeci dzień powtarza się ta sama scena: Paps na stojąco wypija filiżankę kawy, każe się połączyć telefonicznie z Kolonią to z Bonn, to z Bremą, całuje jedynaka w czoło i z głośnym: „Zadzwoń z drogi!” zbiega do samochodu. Czasem przychodzi kilku brzuchaczy na karty, zadymiają cały dom cygarami, i popijając koniak siedzą w gabinecie ojca do późnej nocy. Najgłośniej zachowuje się rubaszny fabrykant rurek neonowych, którego łysa pała mogłaby rozjaśnić najgęstszy mrok setkami watów. Nazywa się Jelonke, jeszcze przed tamtą wojną zaniósł go w egzotyczne strony, i od tego czasu często powtarza bez sensu: „Kto z państwa jeździł kiedy na słoniu, ten wie...”. Nikt, oczywiście, w Bochum nie jeździł na słoniu i nikt nic nie wie... Podobno był kiedyś współnikiem Papsa i od tego czasu datuje się ta przykra i hałaśliwa zażyłość. Gdyby mógł wybierać Papsowi przyjaciół — myśli młodzieniec — wybór mój bez chwili wahania padłby na profesora Brandta. To jest człowiek!

Po południu Arturek najczęściej bywa sam. Zamyka się na klucz i wkuwa do matury. Pod wieczór zjawia się okularnik Herbert lub Pfirsich, syn pastora, „na wspólną naukę” i wtedy grają na werandzie w ping-ponga, idą do kina albo do teatru. Raz na tydzień Arturek zagląda, potajemnie przed Papsem (do tego już doszło!) do Brandta. Na pogawędkę lub na szklanke *Pfützera*.

Tak płyną dni.

I jeszcze jedna chmura unosi się nad domem przy Gartenstrasse: stosunek Papsa do dziadka Praxmeyera.

Wracając któregoś poranka z całonocnej podróży na południe, aż pod Baden-Baden, Paps natknął się na listonosza, i przy okazji wpadł mu w ręce list z austriackim znaczkiem.

— Chociaż nasza konstytucja gwarantuje wszystkim obywatelom tajemnicę pocztową (paragraf dziesiąty) — roześmiał się przy śniedaniu — radbym jednak wiedzieć z kim korespondujesz?

— Z dziadkiem Valentinem! — odpowiedział, niczego złego nie przeczuwając. — Pocciwy staruszek przysłał mi co jakiś czas znaczki pocztowe, a ja nie chcąc go zasmucać, udaję filatelistę...

Paps rozsupiał serwetkę pod szyją, jakby mu nagle zabrakło powietrza, i wymachując widelcem powiedział z przesadną surowością, zupełnie jak Studienrat Jacobi:

— Mam do ciebie wielką prośbę, odwołuję się do twojej synowskiej solidarności: nie utrzymuj korespondencji ze starym Valentinem!

— Dlaczego? — zdziwił się Arturek. — Przecież to ojciec naszej mamy, mój dziadek!

— To długa historia! Jak dorośniesz, wszystko ci wytłumaczę!

Mijały miesiące i lata, i jakoś nigdy tego nie wytłumaczył.

Chłopiec próbował zasięgnąć języka u Emmy:

— Dlaczego Paps nie pozwala mi pisywać do dziadka Valentina?

— Nie wiem — wznosiła ręce ponad sztuczny kok — i nie chcę wiedzieć, to nie moja sprawa!

Funduje stypendia, stawia Domy Dziecka! — pomyślał Arturek z zalem — a taki niesprawiedliwy dla ludzi. Uprowadza się nie tylko do Brandta, ale i do pocciwego dziadka Valentina...

Któregoś popołudnia, w samym śródmieściu, dojrzał znajomą sylwetkę Brandta. Poznał go z daleka. Po parasolu, po tężnej torbie i głowie owiniętej w gazetowy papier.

— Halt!

Zgrzyt hamulców. Smród spalonej gumy. Gwizdek policjanta. Wyzwiska, przekleństwa, grożenie pięścią.

Staruszek gotów jeszcze któregoś dnia wpaść pod tramwaj lub samochód. On czyta na ulicy! Nawet przechodząc przez jezdnię, nie odrywa oka od gazety. Murowany kandydat na samobójcę!

Arturek podbiegł w ostatniej chwili.

— Panie profesorze, ostrożnie! Czerwone światło!

— Przepraszam, zaczytałem się — kiwa parasolem Brandt, siwe kędziory wychodzą mu spod wytłuszczonego ronda. — Czytał pan dzisiaj *Frankfurter Allgemeine*? Ci Chińczycy, no, no, no... Znowu strzelają!

Do rogu następnej ulicy poszli razem. Arturek zaofiarował się ponieść torbę wypchaną prowiantem, która najwyraźniej

przeszkadzała profesorowi w jednoczesnym gestykulowaniu parasolem i czytaniu gazety. Czego tam nie było w czeluściach tej potężnej torby! Dwie główki sałaty, szalik, kostka margaryny, *War and Civilisation* Toynbee'go, chleb z kminkiem, *Die Geschichte des Rabbi Nachman* Bubera, rękawiczka z wyprutym do połowy palcem, pożółkły egzemplarz „Le Monde” sprzed kilku miesięcy...

Biedaczek, sam chodzi na zakupy! Brandt może i dlatego nieco zdziwaczał, że jest starym kawalerem, i to z premedytacji. Małżeństwo? *Apaga satanas!* Umysł rdzewieje, a charakter, stale narażany na potrzebę kompromisu, ulega zwyrodnieniu... W epoce tanich jadłodajni i pralni mechanicznych odpada nawet взгляд czysto praktyczny...

— Nie mam zbyt dużego zaufania do tej instytucji — mówi zartem. — Zresztą nie ja jeden. Czytajcie kroniki sądowe. Niech tylko znajdą gdzieś nieżywą mężatkę, pierwsze podejrzenie z reguły pada na męża. Widocznie zabójstwo uważa się w tej instytucji za objaw jak najbardziej naturalny. Znawcy przedmiotu utrzymują, że połowa wszystkich nieszczęść na świecie bierze się z faktu, że ludzie się żenią...

— ...a drugie tyle z faktu, że się nie żenią! — protestuje w tylnej ławce von Wickenberg.

— Trzeba zatem szukać rozwiązań pośrednich! — huczy Herbert, pierwszy dowcipniś w klasie.

— Jeszcze panu nie podziękowałem — powiedział profesor nad odchodnym — za ugłaskanie swego ojca. Podobno przygotowywał na zebranie koła rodzicielskiego jakieś ostre wystąpienie przeciwko mnie, ale w ostatniej chwili ulitował się nad starym belfrem. To na pewno pańska zasługa, Arturku!

— Ależ to jakieś nieporozumienie! — zaczerwienił się chłopiec.

— Drobiazg, drobiażdżek — poglądził go Brandt parasolem po rękawie. — Zdaje się, że poszło o zadanie, jakie wam dałem przed miesiącem. Przyznaję się do demagogii, ale cóż mogłem innego zrobić? Co roku, gdy zaczynam wyklądać o złym duchu naszej historii, wstaje jakiś grzeczny synuś i powiada: „tak, ale on zbudował autostrady!” Dałem wam więc do rozwiązania dosyć dziwne, przyznaję, zadanie. Co roku, zresztą, to samo: „dowiedz się ile mamy kilometrów autostrady w Niemczech, dowiedz się ilu ludzi zabiliśmy w obozach, spróbuj obliczyć ilu zamęczonych przypada na jeden kilometr autostrady!” Przecież coś, na Boga, muszę robić, aby osłabić ciągle jeszcze niewygasły w naszym społeczeństwie podziw dla Wielkiego Budowniczego Dróg i Mostów.

— Mój ojciec miałby występować... przeciwko panu profesorowi?... — zasapał się chłopiec. — Nie! Nic mi o tym nie wiadomo! To niemożliwe! Zaraz sprawdzę, czy to nie jakaś nikczemna intryga!...

Głęboko wzburzony pobiegł do domu. Sprawdził i — na szczęście wszystko się wyjaśniło. Zaczny profesor musiał paść

ofiara fałszywej informacji. Bo naprawdę, jak mówi Paps, było tak:

Studienassessor Arnold, łącznik między szkołą a rodzicami, zadzwonił któregoś dnia z propozycją zorganizowania zebrania dyskusyjnego, „Na jaki temat? — zapytał Paps — „Na temat kontrowersyjny — odpowiedział Arnold. — A może by się zastanowić nad nauką najnowszej historii Niemiec?” To wszystko. O osobie Brandta w ogóle nie było mowy. Do zebrania zresztą nie doszło z braku *quorum*. Zjawili się pięć osób. Dzisiejsi rodzice nie interesują się swoimi dziećmi, za bardzo są zajęci sobą...

Któż to mówi! — zdziwił się Arturek. — Widuję Papsa nie częściej jak dwa razy w tygodniu...

— Owszem, zgadza się: miano dyskutować nad programem nauczania „jako takim”, ale nazwiska Brandta nikt nie wymienił. Z igły, jak zawsze, zrobiono widły...

— To dobrze — odetchnął z ulgą Arturek. — Pamiętaj, Papsie, że my go ubóstwiamy!

— Wiem, wiem — roześmiał się Paps. — A jeśli wam skrzywdzą „dziadka do orzechów”, zwiecie całą klasą do Legii Cudzoziemskiej. Na znak protestu!

Nic dziwnego, że Brandt ma wrogów. Studienrat Jacobi tak się kiedyś wyraził o nim z fałszywym podziwem:

— Wasz historyk ma unerwiony, błyskotliwy intelekt, co się niewątpliwie łączy z określoną formacją pochodzeniową...

— „Określona formacja pochodzeniowa”? — skrzywił się w ławce Herbert. — Czy pan profesor chce nam dać do zrozumienia, że Herr Brandt jest pochodzenia żydowskiego?

— Nic wam nie chcę dać do zrozumienia. Proszę mi nie wkładać w usta słów, których nie wypowiedziałem! — wycofał się germanista.

— Bo jeśli chodzi o nos... — przypieczętował basem hrabicz von Wickenberg — to Herr Brandt złamał go jako dziecko na ślizgawce...

— *Ruhe!* — zastyga w powietrzu wypchany ptak Jacobi — Cóż mnie obchodzi nos pana Brandta!

Rzeczywiście, historyk ma nos z lekką przetrącony. W niższych klasach dzikuseria woła za nim: „Dziadzio-bokser” lub „Krzywonos”, chociaż daje smarkaczom słowo honoru, że nigdy w życiu nie widział ringu z bliska. Ofiara sportu żyźwiarskiego! Zaprawdę, nie trudno go sobie wyobrazić w tej roli! Toć ślizga się, niezgrabny niedźwiadek, na wywoskowanym linoleum, potyka się przy wejściu o słomiankę, to wreszcie przydeptawszy za długie sznurowadło omal nie zjeżdża ze schodów. Arturek ma nieraz ochotę wziąć go pod ramię i jak małego chłopca przeprowadzić na drugą stronę ulicy. Nieporadny i niepraktyczny, w marynarce poplamionej atramentem, w spodniach które od lat nie zetknęły się z żelazkiem, w butach gwałtownie domagających się szewca, nie budzi jednak w nikim złośliwej wesołości. Wiadomo nie od dzisiaj, że w tym niezbyt starannym

opakowaniu towar ukrywa się znakomity! Erudyta, gawędziarz, mistrz dygresji, przymyślnik aluzji, kpiarz bez kropli żółci, złote serce, a przy tym zawsze rogaty i tak zabawnie zadziorny.

Na przykład: weźmy ostatnią lekcję o Fryderyku Wielkim. Herr Brandt figlarnie kręcąc na palcu siwy kędziorek przy skroini, ni stąd ni z owąd powiada:

— Panowie, byłem wczoraj w piwnicy naszych rodzimych, pożał-się-Sartre „egzystencjalistów”. Jacyś pono Paryżanie o twarzach junkrów pruskich, w swetrach pachnących piwem, próbowali czytać wiersze o nicości życia, o pełnym wyzwoleniu człowieka z potrzasku tradycji i moralności, o pogardzie dla autorytetu niebieskiego i ziemskiego... Hałas panował przy tym piekielny. Wówczas jeden z koryfeuszów ryknął na całe gardło: „*Ruhe! Ordnung muss sein!*” I nagle — proszę panów — jak makiem zasiał: diabli wzięli wszelki bunt młodości, cała piwnica zamieniła się w bunkier posłusznych rekrutów. *O, braves Vaterland!* Fridericus Rex pozdrawia cię z zaświatów!...

Albo taki, dość nieoczekiwany, „wstęp do wykładu” o wojnie prusko-niemieckiej:

— Panowie, zastanówmy się na chwilę, czy modna obecnie gadanina o przemożnej sile „odruchów warunkowych” wnosi coś nowego do poznania naszych dziejów ojczyństw? Myślę, że nie. Wyniki eksperymentów Pawłowa z psami wydzielającymi soki trawienne na dźwięk dzwonka, nie mogą chyba zaimponować nam, potomkom owych grenadierów spod Gravelotte, którzy na dźwięk hymnu narodowego, wydzielając ze siebie jad nienawiści do Francuzów, poszli na bagnety jak burza. Pawłow przy niektórych doświadczeniach z psami, jak słyszymy, wypróbował również działanie bodźców wzrokowych: powiewał szmatką określonej barwy. Tutaj wtrąć mi w pięć ni w dziewięć, że mój przodek pod Gravelotte, chociaż nie czworonóg, widząc sztandar pułkowy w rękach nieprzyjaciela, w przystępie furii patriotycznej niejedną francuską czaszkę porozbijał kolbą i niejednego brzuch odwiecznego wroga otworzył bagnetem...

— Drastyczne porównanie! — protestuje von Wickenberg — Francuzi nas sprowokowali. *It takes two to make a quarrel*, jak mówią Anglicy!

Von Wickenbergowi nie można się dziwić: jego ojciec stoi na czele Ligi Monarchistów. Paps natomiast kiedyś tak powiedział:

— Obawiam się, że Herr Brandt, zamiast uczyć was historii, ogranicza się do oplotkowywania dziejów naszego narodu...

Brandt ani na chwilę nie dawał „oberprimie” do zrozumienia, że jest wykładowcą lub też, nie daj Boże, wychowawcą. Przyszedł do klasy jak do kawiarni. Nie piął się, jak Studienrat Jacobi, na podium, nie zasiadał za potężnym pudłem katedry, ale przysiadł się na brzegu ławki lub oparty o kaloryfer, podtrzymując brzuszkiem małymi rączkami, gawędził o tym i o tamtym. Ba, częstował chłopców papierosami i nie bardzo wiadomo dlaczego, mówił do nich per „panie kolego”...

— Herr Kollege Hubert! Proszę wyjrzeć na korytarz, czy nie skrada się jakieś „oko i ucho” dyrektorskie — wysyłał jednego z młodzieńców na zwiady — A my tu sobie poplotkujemy...

I dalej się natrząsać z przemówienia polityka, który powiedział w Bochum na wiecu przedwyborczym: „Przestańmy mówić i pisać o Republice Weimarskiej. To było tak dawno — że w gruncie rzeczy nikt już nie wie, co się wtedy działo naprawdę, a bestronnych świadectw o tamtej epoce jest bardzo mało”...

— Dobre, co? — śmieje się „dziadek do orzechów”. — To taki profesor Hürzeler w Szwajcarii potrafił napisać całe studium o skamieniałych szczątkach szkieletu, znalezione go w Grosseto. *Oreopithecus bamboli* liczy sobie ponad dziesięć milionów lat. A my nie wiemy, co się działo w Niemczech przed trzydziestu laty? A może, proszę panów... — i tu przymruża chytrze oko — my nie chcemy wiedzieć?

Inni nudzą bez litości, dukają przez nos z podręczników (Pfirsich junior wkleja wówczas setną fotografię Brigitte Bardot do swego albumu), każą notować jakieś „punktacje” i „konspекty” do zeszytów (Herbert wypełnia wtedy kupony „Loto” i „Toto”), co więcej: każą wkuwać na pamięć. Albo, jak ten frant Jacobi, pławia się w odświeżonym frazesie i dydaktycznym patosie. Natomiast Brandt uczy nie ucząc, od niechcenia i bardzo po swojemu. Fakty przeplata anegdotą. Z pomników wypuszcza trociny. Nie patyczkuje się ani z Bismarckami ani z Wilhelmami. Niejedna Cesarska Wysokość w jego interpretacji nabiera cech Studienrata Jacobiego. Trzeba było słyszeć, jak zabawnie opowiedział historijkę o bohaterskim wycynie kawalera orderu „*Pour le mérite*”, o Ludendorffie, zdobywcy twierdzy Leodium przez pomyłkę... Brandt nie znosi Ludendorffa. Napiętnowując jego plany podbojów i masowych przesiedlań ludności, nazywa go duchowym ojcem chrzestnym tego „hyla z wąsikami”...

Dość często dochodzi w klasie do sprzeczek. Von Wickenberg, na przykład, protestuje swoim pięknym basem:

— Pan profesor nazwał ostatnio dyscyplinę w armii Fryderyka Wielkiego „barbarzyństwem”. Jest to, proszę mi wybaczyć, opinia nieco tendencyjna. Nie zapominajmy, że w tym samym czasie dyscyplina we flocie angielskiej była dwakroć większa!

— Gdybym był Anglikiem, mówiłbym panom o barbarzyństwach angielskich — odpowiada Brandt. — Będąc Niemcem, mówię o barbarzyństwach niemieckich...

Także i Xavier, satelita Wickenberga, nazywany w klasie „hrabiowskim giermkim”, wyraża swoje wątpliwości:

— Nie wierzę, żeby Bismarck mógł nazwać Francję „narodem zer i dzikusów”...

Brandt odpowiada z wyszukaną uprzejmością:

— Zechce pan łaskawie sprawdzić. Moritz Busch, „Pamiętniki”, Lipsk, 1899, tom 3, albo: Hugo Ball, „W sprawie kry-

tyki niemieckiej inteligencji", Bern, 1919.

— Obawiam się — wydyma hrabicz wargi na przerwie — że nasz goniący w piątkę Brandt nie grzeszy nadmiernym pocuciem odpowiedzialności.

— A ja się obawiam — przedrzeźnia go czupurny Hubert — że w naszym biednym, gusłami zaczadzonem kraju nie brak umysłowych pigmejów, którzy każdy przejaw odwagi cywilnej z reguły nazywają „brakiem pocucia odpowiedzialności!”

Najsympatyczniejszy jest jednak Brandt wtedy, gdy ucieka się do małych, zacnych fortelików. Na przykład: pod srogim „słowem honoru” pożycza czasami ze swego prywatnego księgozbioru „kroniki skandaliczne”. W wielkim zaufaniu zawiera na kilka godzin odpisy i fotokopie „ważnych dokumentów historycznych”, podobno „jeszcze nieznanymi światu naukowemu”...

Arturek też padł kiedyś ofiarą profesorskiego podstępku.

— Sensacyjne odkrycie — szepnął mu Brandt do ucha tonem tak namaszczone, jakby wyjawiał tajemnicę bomby wodorowej. — Własnoręczne zapiski światłego monarchy. Poczył je Johann von Sachsen w latach 1830-54, a więc jeszcze przed wstąpieniem na tron! Kapitalne! Nigdzie nie opublikowane! Powierzam tylko panu, Arturku! A na dodatek: prawdziwy rarytas, nieznanymi dotychczas list z tajnego archiwum! General-feldmarschall Alfred von Schlieffen pisze do swej siostry Luizy Gräfin Egloffstein, że sam Pan Jezus powierzył mu losy sztabu generalnego...

W kilka dni później Arturek, przechodząc ulicą, wybuchnął głośnym śmiechem. W witrynie popularnej księgarni, po dwadzieścia marek za sztukę, w płóciennnej okładce, leżały dwie kilkuset stronicowe kobylki: „Listy” sławnego marszałka i „Wspomnienia” światłego monarchy...

Lecz nieraz Brandt przychodzi do klasy bez humoru, skupiony i poważny.

— Zaczynam się starzeć — wzdycha, kiwając główką — za długo żyję, proszę panów. Cała sztuka życia: umrzeć we właściwym momencie. Za dużo widziałem, za wiele pamiętam. Co kilka dni obchodzę jakąś swoją „rocznicę”, jakiś swój „jubileusz”, ważny tylko dla mnie, ale nie dla innych. Jak tej bawarskiej chłopce z Konersreuth, co jakiś czas odnawia mi się mój Wielki Piątek. Młodość chyba dlatego jest synonimem szczęścia, że nie ma pocucia czasu. Dopiero po pięćdziesiątce człowiek dokonuje sensacyjnego odkrycia: że każdy dzień przybliża go do śmierci...

Po dłuższych naleganiach opowiadał o sobie i o swoich dawnych, berlińskich przyjaciół. Smutne to były wspominki...

— Właśnie dzisiaj mija ćwierć wieku — powiedział niedawno — gdy widziałem się z Carlem von Ossietzky'm po raz ostatni”. Dlaczego nie uciekasz? — dogoniłem go na ulicy. — Lada chwilę cię złapią. Jedź razem ze mną do Szwajcarii. Przeczekajmy za granicą aż się t o skończy!” — „Wyjechałbym

z Niemiec” — powiedział — „kocham życie i wolność jak i wy, ale po namyśle dochodzę do przekonania, że bardziej niewygodny dla n i c h jestem tutaj!” I nie pojechał ze mną na dworzec. Poszedł za druty i... domyślacie się chyba co się z nim stało. Inny, z moich przyjaciół, spotkanych tego dnia na ulicy, nazywał się Hans Otto i był aktorem, niebyłe jakim aktorem... Widziałem jak go wywlekali z garderoby teatralnej na ulicę, jak prowadzili go z wykręconymi w tył rękami do samochodu. Zginął następnej nocy na Prinz-Albrecht-Strasse, wyrzucony po śledztwie przez okno kancelarii na bruk więziennego podwórza. A wiecie, co zawołał do swoich oprawców w ostatniej chwili? To moja najpiękniejsza rola!”...

Brandt w milczeniu kręcił siwy włos na palcu i jakby cały zmalował w swym niemodnym, znoszonym ubranku.

— Chińczycy, perfidny naród, mają okrutne przekleństwo w swoim języku: „Obyś żył w ciekawych czasach!” Ja, niestety, żyłem w bardzo ciekawych. I dlatego, drodzy panowie, radzę wam: prosicie opatrności, by wam pozwoliła żyć w nudnych, nieheroicznych, przyziemnych i małych czasach. Ile razy bierzecie rano gazetę do ręki, ciesząc się że „nic się nie dzieje”, a gdy was pytają: „co słyszać?”, mówcie zawsze: „NA SZCZĘŚCIE nic!”. A jeśli wam jakiś blagier zacznie deklamować o „łopocie skrzydeł”, „gorącym oddechu”, „przyspieszonym rytmie” czy innym idiotycznym „wichrze” historii przez duże „H”, odwróćcie się od niego z pogardą, odpowiedźcie mu cytatem z „Goetza von Berlichingen”...

Brawo! Taki jest nasz Brandt! — pomyślał Arturek z czułością. Jutro z samego rana podejdzie do niego na korytarzu i wyjaśni mu wszystko. Niech wie, że zaszła pomyłka: Paps jest bez winy.

Zaczął przeglądać brulion z notatkami. Przekartował go raz, drugi i dziesiąty... I nagle ze zdziwieniem stwierdził, że brak w nim kartki z zadaniem o autostradzie i więźniach. Ze zmarszczonym czołem spoglądał na ślad wydartej stronicy.

Czyżby to zrobił...? Nie, to niemożliwe!

— Nie rób przerażonej miny! — posłyszał dzwiczny śmiech Papsa za plecami. — Nic się nie stało! Tak jest, to ja wyrwałem tę kartkę! Jako prezes komitetu rodzicielskiego mam chyba prawo wiedzieć, co się dzieje w szkole. Przynoszę ci „na dobranoc” szklankę gorącego mleka z miodem, coś dla cherlaków! Prost!

Kątem oka dostrzegł olbrzyma na rozkraczonych nogach, w szlafroku z wielbłądziej sierści, w safianowych pantoflach, z kubkiem w ręku.

Bez słowa wyszedł z pokoju.

Dzień bez deszczu. I to się czasem zdarza w Bochum. Tylko wiatr klekocze w rusztowaniach neonowych reklam. Arturek pędzi na rowerze w stronę dworca, do biblioteki miejskiej. Spotyka się tutaj od pewnego czasu, najczęściej „przypadkowo”, z nie-

dużą, czarnowłosą osobą... Wypożyczają książki z tej samej biblioteki. Urzekła go tanecznym chodem i sposobem noszenia teczek. Chwilami miał wrażenie, że Gizela nie schodzi z chodnika, jak zwykli śmiertelnicy, ale sfruwa. A gdy słyszał jeszcze przy tym chrzęst usztywnionej haleczki, wydawało mu się, że to furkot niewidzialnych skrzydeł. Teraz większość dziewcząt otacza się obręczą *petticoat'u*, co ich spódniczki upodabnia do rozpostartego na roście parasola lub otwartego spadochronu. Już się modnisie z „lepszych domów” nie mieszczą w za ciasnych szkolnych ławkach, nie dostosowanych do nowej mody. W takt tego ptasiego pół lotu pół kroku podskakuje jej na plecach związany kokardą „koński ogon”. Teczki zaś nie nosi jak inne licealistki! Nie ściska jej pod pachą. Nie obja jej o biodra. Buja nią wesoło w powietrzu jak mała dziewczynka...

Poznał ją z daleka po chodzie i po własnym, radosnym niepokoju. Co zrobić z rowerem? „Opieranie rowerów o ścianę surowo wzbronione” — ostrzegają napisy na każdym budynku. („Nasza wolność rośnie w ogródku tysiąca drobnych zakazików, co drugi napis: VERBOTEN!” — powiedział kiedyś Brandt). Oparł rower o drzewo i wybiegł jej na przeciw.

— Co za miły przypadek... — bąknął. Wyjął jej teczkę z ręki, przeszedł grzecznie na lewą stronę, i, speszony, nie umiał zacząć rozmowy. A tyle jej miał do powiedzenia, nabierało się tematu co nie miara, słyszał ostatnio kilka świetnych dowcipów — wszystko pozapominał.

Gizela mu pomogła.

— Czy to prawda, Arturku, że nazywają cię w szkole „książkojadkiem”? Twój przyjaciel Herbert twierdzi, że do każdego posiłku zjadasz jedną książkę — roześmiała się przymilnie.

— Poniekąd... — przyznał się z dumą. — Inni zjadają się jazzem, lambrettami, boksem, ja wolę książki. Przeczytałem już wszystkie książki ze zbiorów mego ojca (z wyjątkiem chemii, to mnie nie interesuje), przeczytałem wszystkie książki w bibliotece szkolnej...

— Wszystkie! — zawołała z podziwem.

— ...wszystkie z wyjątkiem śmiecia dla smarkaczy, a teraz dobieram się do tej rudery — wskazał palcem na odrapany budynek. — Mój ojciec, ilekroć gasi mi światło o pierwszej w nocy...

— O pierwszej w nocy!

Jak przyjemnie się opowiada, gdy po każdym zdaniu rozlega się pisk podziwu!

— ...a nieraz i później, powiada: „Opamiętaj się, Turciu! Kto w ogóle nic nie czyta, podobnie jak człowiek który nie je, ginie śmiercią głodową, ale kto czyta za wiele, pęka z przejedzenia”!

Arturk wie, że Gizela, w odróżnieniu od wielu płochych dziewcząt w jej wieku, też sporo czyta, chociaż szyderca z tej samej ławki, okularnik Herbert, powtarza często za Tomaszem Mannem, że „piękne dziewczęta nie mają sposobności rozwinie-

cia pozostałych uzdolnień”. Gizela gardzi modnymi obecnie romansami, w których bohaterka co kilka stron pojawia się w nowej sukni, w nowym samochodzie i z nowym mężem, natomiast najchętniej czyta o Indiach, o Dalekim Wschodzie... Gdy się mieszka w Bochum, nie można nie tęsknić do egzotycznego świata.

— Czy czytałeś książkę Bungaku Hakushi?

— Nie — przyznał się ze wstydem — ale chętnie ją przeczytam...

Ostatnio, gdy byli razem u Włocha na lodach, pozwoliła mu zajrzeć na chwilę do swego „dziennika lektury” w safianowej okładce (podarek od ojca).

Czując puszystość jej włosów na policzku, z zachwytem przyglądał się zadzierzystem kulaskom, tu i tam zakropionym kleksem:

Heinrich Böll: nie lubię; znów o wojnie, zbyt brutalne...

Thomas Mann: zabawne o tym Felixie Krollu. Czy to możliwe, żeby istniał taki hochsztapler? Dosyć dobre, ale film z Horstem Buchholzem lepszy.

Graham Greene: wstrząsające. Ten książd w Meksyku nie powinien jednak być tyle grzeszyć. To ma być pisarz katolicki?...

Ernest Hemingway: „Pożegnanie z bronią” — całkiem niezłe. Część o wojnie mniej udana, ale tragiczne zakończenie wzrusza do łez... Film o całe niebo lepszy!...

Daisetz T. Suzuki: jakie to mądre! „Jeść tylko wtedy, gdy się jest bardzo głodnym, a spać gdy się jest naprawdę zmęczonym”. Ducha, mówi, też można gimnastykować...

Françoise Sagan: „Bonjour Tristesse”. Wszystko nieprawda! Papa powiedział niedawno: „gdy czytam książki o żołnierzach, jako stary żołnierz mogę stwierdzić tylko jedno: żołnierz taki nie jest! Gdy czytam książki o młodzieży, mogę powiedzieć tylko jedno: młodzież taka nie jest!...”

Ach, gdyby tam nawet napisała, że dwa razy dwa jest pięć, a Londyn leży nad Sekwaną, też by wycalował te kartki oczami!

W drzwiach wypożyczalni wpadli na Brandta i na młodego Pfirsicha, który pomagał profesorowi nieść książki.

— Tłok ludzki! Ogonki przed okienkiem! — ostrzegał pastorski synek. — Tylko jeden jegomość obsługuje dziś sklepik, a w dodatku jest trochę głuchy, ślepcy, chromy i stuknięty!

— Wobec tego chodźmy na kawę! — powiedział profesor. — Ja państwa zapraszam!

W sąsiednim espresso, przy dymiącej filiżance, od razu przypomniał sobie nową historię:

— Gdy byłem młodzieńcem w waszym, panowie, wieku — aż zatarł rączki z zadowolenia — pożyczałem mądre dzieła z biblioteki miejskiej we Frankfurcie. Któregoś dnia (a było to jeszcze przed tamtą wojną), przy odnoszeniu jednego z wypożyczonych atlasów, spotkała mnie fatalna przygoda. Nie wiem, czy w obecności młodej damy godzi się o tym mówić...

— Proszę bardzo — pisała Gizela.

— Otóż przez roztargnienie zapomniałem wyjąć coś ze środka, he-he, coś raczej niecenzuralnego. A mianowicie kilka niezbyt przyzwoitych pocztówek, przechowywanych przed czujnym, ojcowskim okiem w głębi opasłego tomiska...

— A wstyd, profesorze, wstyd! — wybuchnęli radością na całe espresso.

— Właśnie! Stałem więc przed bibliotekarskim kontuarem, zaczerwioniony jak panienka, jak ówczesna panienka. Sędziwy kustosz, wykpany profesor Unrat z „Niebieskiego anioła” w kreacji Emila Janningsa, zmierzył mnie od stóp do głów, a potem przez grube okulary przyjrzał się każdej Lorelei z osobna. Przypadek zrządził, że między te niecne obrazki przyplątała się również patriotyczna pocztówka ze złożonym napisem „Cesarz pojmany”, na której zgnębiony Napoleon III ze spuszczoną głową stał przed zwycięskim Bismarckiem. Tu smutno spuszczone w dół bródka, tam wąsy dumnie pnące się w górę, i napis w zielonym wianuszkach: *Sic transit gloria mundi*. Stary kustosz, ciągle jeszcze groźnie mierząc mnie okiem, wziął i ten bohomaz do ręki, a ja stałem z sercem bijącym w gardło, skazaniec w oczekiwaniu egzekucji. Cisza trwała dość długo, wreszcie podszedł do mnie tak blisko, że poczułem jego sztywny półkoszulek na swojej piersi. — „Młody człowieku, opamiętaj się! — syknął mi do ucha zgorzonym szeptem — znalazł się pan na drodze wiodącej do hańby, do upadku, do grzechu! Nie mam nic przeciw kobiecej urodzie — oddał mi nieprzyzwoite zdjęcia, sam mi je nawet wcisnął do kieszeni — ale brzydzi mnie każdy przejaw patriotycznej pornografii! Jestem zgorzony!” — zawołał i podał „Cesarza pojmanego” na drobne kawałeczki...

Młodzieńcy aż klasnęli z uciechy w dłonie.

Gdy profesor zniknął z Pfirsichem za drzwiami (widocznie nie chcieli im przeszkadzać), Arturek zapytał:

— Podobała ci się ta historyjka?

— Nie! — wydeła wargi.

— Dlaczego?

— Bo nie lubię Brandta!

— Dlaczego? To uroczy człowiek!

— Być może — odpowiedziała Gizela — ale mój ojciec go nie lubi, więc ja go też nie lubię...

Jakie to dziwne — pomyślał ze smutkiem. — Paps go nie lubi, ojciec Gizeli go nie lubi... Cóż im zawinił ten niepozorny, skromny człowieczek w lichym ubranku, zawsze dla wszystkich grzeczny i delikatny, pozdrawiający świat i ludzi pomiętym kapeluszem i przedpotopowym parasolem?

Znowu doszło do różnicy zdań z Papsem. Tym razem na temat „siły”.

Paps czytał „Le Figaro” w gabinecie. Wypuszczał przy tym bukieciki dymu. W pewnej chwili wyjął cygaro z ust i mruknął niechętnie:

— Francuzi, jak zawsze, przesadzają. Nie jesteśmy dzisiaj żadną potęgą. Owszem, mamy pieniądze i poważne osiągnięcia eksportowe, ale za to pogłębia się u nas niebezpieczny na dłuższą metę proces duchowej „szwajcaryzacji” republikańców związkowych; stajemy się narodem sybarytów, pozbawionych wyobraźni historycznej...

— Jesteśmy słabi? — zdziwił się Arturek.

— Jesteśmy podzieleni i bezbronni. Póki nie odzyskamy ziem utraconych, nie możemy marzyć o silnych Niemczech...

— Po co mamy o tym marzyć? Dlaczego mamy być silni i w imię naszej „wyobraźni historycznej” znowu rozpychać się łokciami po całej Europie? — próbował podyskutować — Czy wielkość narodu zależy od jego siły fizycznej?

— Słabi i biedni na świecie się nie liczą, mój Werterze! Spamiętaj sobie: duże ryby zjadają małe ryby...

— Profesor Brandt powiada, że...

— Tylko błagam cię — przerwał mu Paps — zaoszczędź mi cytowania mądrości pana Brandta. On was, chłopcy, rozbraja. Jesteście jeszcze za młodzi, żeby zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa...

— Z jakiego niebezpieczeństwa?

— Pamiętaj, że szczerolap gra na fujarcie, a wy, jak te biedne obałamuczone dzieci z Hameln, wchodzicie za nim do wody. Niemcy, wbrew opinii panów Brandtów, muszą być silni!

Taka to i dyskusja z Papsem... „Muszą” i — już!

Raz na tydzień, zazwyczaj w piątek, świetlica szkolna zmienia się w narożnik londyńskiego Hyde Parku: „wolna trybuna” ma głos! Aparat telewizyjny idzie w kąt, *juke-box* ginie pod teczkami, na stole bilardowym rośnie góra płaszczy i kurtek, a na parapetach okiennych, jak w łóży, zasiada z podkurczonymi nogami kwiat dyskutantów.

— Panie profesorze, czy mam przerwać obrady? — zapytał przerażony Arturek, widząc że rozjuszony Herbert czai się w tylnej ławce do skoku na hrabiczę von Wickenberga. — Przecież oni się pozabijają!

— Ależ kłóćcie się, panowie, wyrrywajcie sobie włosy! Bijcie pięścią w stół! Uczcie się niezgody i buntu! — śmiał się „dziańdek do orzechów”. — Pamiętajcie, że zgoda rujnuje, a jednomyślność najczęściej kończy się katastrofą! Młodość ma swoje prawa. Turysta przybywający do Paryża przypuszcza, że krzeselka kawiarni ulicznych na Champs Elysées służą tylko do siedzenia. Nie tylko, proszę panów! Na szczęście służą one także do rzucania w policję!

Klub dyskusyjny *Heisse Köpfe*, któremu Brandt umyślnie podrzucał łatwopalne tematy, przypomina walkę kogutów. Na przykład przy omawianiu protestu studentów monachijskich, którzy nie chcą na frontonie swej uczelni oglądać napisu *Dulce et decorum...*, gdyż uważają mądrość Horacego za „niezgodną z duchem czasu”, Xaver, nazwany przez Pfirsicha „ścierwem

armatnim", zabłysnął słynnym na całe Bochum „lewym sierpowym", za co go trzeba było zawiesić w prawach członka.

Herbert, rywal do prezesury Klubu, popisał się przy tej okazji angielszczyzną, deklamując wiersz poległego poety, Wilfreda Owena:

*„my friend, you would not tell with such high zest
to children ardent for some desperate glory
the old lie: dulce et decorum est pro patria mori...*

— Anglicy apostołami pacyfizmu, obym nie dostał przepukliny ze śmiechu! — przerwał mu von Wickenberg. — Panowie, nie bądźcie dziećmi! Zobaczcie, co ci humanitaryści wyprawiali w Kenii, co wyprawiają na Cyprze! Już Theodor Fontane powiedział o nich prawdę: *Sie sagen Christus und meinen Kattun!*...

— Kolego Wickenberg! — upomina go Arturek. — Statut naszego Klubu zabrania nienawiści między narodami.

— Wickenberg ma rację! — krzyknął Xaver, przysłowiony Filip z konopi. — Inni wołają: *Rule Britannia, Britannia rule the waves*, inni wołają, że *Grande Nation* i *Gloire* i *God bless America!*, a niech tylko ktoś z nas zaśpiewa *Deutschland über alles* od razu podnosi się krzyk na całym świecie!

— No, jak myślisz, Xaver, dlaczego? Zastanów się! — powiedział na to Pfirsich. — Czy w ciągu ostatnich 50 lat nic się takiego nie stało, co by usprawiedliwiało nieufność innych narodów?

Xaver zastanawiał się bardzo długo, wreszcie ze spuszczoną głową usiadł bez słowa. Musiał mu jednak ktoś coś podpowieścić do ucha bo nagle wyrzucił ze siebie:

— Tak, tak, *alles stimmt*, ale podczas alianckiego nalotu na Drezno zginęło 250 tysięcy ludzi!

— Dyskutujemy o maksymie Horacego! — przypomniał Arturek.

Jeszcze więcej namietności wzbudziła wśród „Gorących Główn” dyskusja o służbie wojskowej. Podstawę do wymiany zdań stanowiła notatka w prasie, mówiąca że trzech młodzieńców w Hamburgu odmówili pójścia do wojska, powołując się na artykuł pierwszy Konstytucji (wzmianka o „godności człowieka”). Młodzi Hamburgczycy, według tej notatki, mieli oświadczyć, że sumienie nie pozwala im szkolić się w sztuce okaleczania i zabijania bliźnich...

— Świadkowie Jehowy! — roześmiał się ktoś pogardliwie.

— „Komisja orzekająca” — czytał Arturek — „odrzucała jednak ich protest, wychodząc z założenia, że nie są jeszcze na tyle dojrzały, aby przeżywać konflikty sumienia...”

— ...ale są na tyle dojrzały, by zabijać innych! — krzyknął rozdygotanym głosem Pfirsich. — Hańba!

— „...sąd krajowy w Hamburgu — ciągnął Arturek na krześle przewodniczącego Klubu — stanął po stronie opornych, przyznał im prawo uchylecia się od służby z bronią w ręku.

Gerichtsrat Schumann na zakończenie sprawy powiedział: „Przygotujcie się teraz na bardzo ciężkie lata. Dzisiaj potrzeba nie tyle jakieś odwagi, by nie pójść do wojska, o ile łatwiej jest zostać żołnierzem! Żaden człowiek szlachetny nie nazwie was tchórzami”... Kto chce być sobie wierny, na stromą wchodzi drogę, ale tylko taka wiedzie w górę... — tych słów nie było w gazecie, Arturek dopowiedział je w zamyśleniu. — Otwieram dyskusję. Co koledzy sądzą o tej sprawie?

Pierwszy do głosu zapisał się filmowo piękny von Wickenberg w zamszowej marynarce. (Gizela nazywa go *Mister Bochum*). Przypomniawszy sławne powiedzenie jednego z mężów stanu (nie mógł sobie na razie przypomnieć którego), że „historia nas poucza, iż narody które nie chcą nosić własnych karabinów, z czasem muszą nosić broń najeźdźców”. Otóż to! Gdyby tak wszyscy młodzi Niemcy nad Renem chcieli pójść śladem trzech Hamburgczyków, przestalibyśmy istnieć jako wolne państwo. Nie zapominajmy kto namawia młodzież do tego typu demonstracji i w czym one leżą interesie. (Wymownym gestem wskazał na wschód). Co jest ważniejsze: pokój czy wolność? — zapytał na zakończenie. — Pacyfiści z reguły nie myślą kategoriami politycznymi, oni tylko szlachetnie czują. Fałszywy humanitaryzm staje się bezwiednym sojusznikiem przemocy. On, von Wickenberg, chociaż brzydzi się wojną na równi z innymi, nie ma jednak pod tym względem najmniejszych wątpliwości moralnych, nie przeżywa wewnętrznej rozterki, sumienie każe mu się opowiedzieć za wolnością...

— *Dixi et animam meam salvavi!* — zawołał na zakończenie.

Skłonił się grzecznie i usiadł. Oklaski, gwizdy, tupot nóg.

— *Herr Graf, der Freiheitskämpfer!* — zapiał ktoś sztytlerczo. — Ministrant! Łaciną się popisuje!

Z kolei przemawia Hubert, przysięgły wróg hrabicz. Okulary pokryły mu się parą, znak że jest podniecony do granic eksplozji; najczupurniejszy kogutek w całej klasie.

— Im dłużej żyję na świecie, tym większy ogarnia mnie przestrach — pokazuje ręką na swego przedmówcę. — Kolega Wickenberg przeraża mnie swoim rozumowaniem. To nie jest rozumowanie, to jest dreptanie w kółko i powtarzanie starych, tylekroć razy skompromitowanych formułek. Powiada nam, że nie ma wyjścia z sytuacji, że musimy się zarzynać w imię ideałów. A najsmutniejsze jest to, że o kilkaset kilometrów stąd, w podobnym klubie młodzieży, wstaje jakiś drugi Wickenberg (ale bez „von”) i pokazując ręką na zachód powiada, że i jego sumienie każe „opowiedzieć się” za „wolnością”, za „pokojem”, za „zdobyciami świata pracy”, za tą lub inną granicą, i — dlatego będzie strzelał! Ja już dawno odkryłem przyczynę wszystkich nieszczęść na świecie — woła dziewiętnastoletni pesymista. — Dopóki ludzie w coś wierzą, wypuszczają sobie flaki z brzucha. Koledzy, błagam was: nie wierźmy w nic! Precz z ideałami!

Wrzawa, gwizdy, omal nie dochodzi do bijatyki. Arturek na próżno prosi o spokój i grozi zamknięciem zebrania...

— Ale w jedno chyba pozwolisz mi wierzyć — huczy von Wickenberg — że jesteś skończonym osłem!

— Zachowujecie się jak sztubacy! — woła Arturek.

Gdy z jeszcze nie ostygniętymi uszami, z błyskiem w oku opowiadał o tym zebraniu Papsowi przy kolacji, posłyszał — ku swemu przerażeniu — słowa, które jeszcze dzisiaj, po kilku dniach, bolą go w piersiach jak nie wyjęte odłamki kul.

Paps odsunął talerz i mrużąc nieduże, jasnymi rzęsami rozmrugane oczy, powiedział:

— Mam nadzieję, że nie zrobisz podobnego głupstwa. Ci z Hamburga na pewno byli inspirowani. Trzeba znać życie, mój Turciu!

Chłopiec zapatrzył się w obrus.

— I jeszcze jedno — posłyszał przesadnie wesoły głos Papsa — Nie zapominaj, że nasza firma wykonuje półmilionowe zamówienie dla wojska. Nie podcina się gałęzi, na której się siedzi!

Szczęśliwy, kto nie musi mieszkać w Bochum!

Jadowity dym pnie się na niebo, niebo jest brudne, sadze kładą się na liściach kasztanów, na końcu języka czujesz kwaśny pył. Już po obiedzie robi się za oknami rdzawo i sino, samochody zapalają światło we mgle. Powietrze przesycone węglem, chemikaliami i lepłą wilgocią.

Ale Arturek, jak każdy zakochany, nie dostrzegał brzydoty tego świata. Trzymając Gizelę za rękę, rozdeptywał w parku kałuże, mijał zgnie i czarne zielsko, smutny i uśmiechnięty zarazem. Cóż za dziwne uczucie! Doświadczał go po raz pierwszy. Czuł kwitnącą gałązkę bzu pośrodku czupryny i gwóźdź w sercu. Jeszcze się przechodnie zaczęła za nim oglądać: stąpa teraz po rozwirowanej planecie nagi i śmieszny, a przy tym bliski płaczu. Byli po pierwszym pocałunku, onieśmieni sobą, pełni radości i lęku.

Przejechały autobusy z łoskotem. Zadzwończyły tramwaje za zakrętem. Nowa zmiana jedzie do roboty. Coś błysnęło w gałęziach. Pewnie neon lub latarnia, bo skąd by się nagle księżyc wziął nad nieromantycznym miastem? Mokry wiatr sypnął ulotkami żółtych liści. A on myśli zebrać nie może, wszystkie słowa pogubił w ciemności, i tylko futerał od skrzypiec ścisną kurczowo pod pachą.

— Co ma robić zakochany, gdy nie umie śpiewać ani pisać wierszy?

— Westchnąć, głęboko westchnąć — odpowiedziała z westchnieniem.

Sięgała mu do ramion. Do pocałunku musiała się wspiąć na palce. Była drobna i nieśmiała, oczy połyskiwały jej czarnym szkliwem. Jakże inna od swoich rówieśniczek, od tych krzykliwych, wysportowanych dziewcząt w „blue-jeansach”

i zamszowych kurtkach, do których należał cały świat. Chłopcy z „oberprimy” — cóż za niesprawiedliwość — nazywali ją „Mysim Pyszczkiem”...

— Napiszę do ciebie długi list!

Rozpadało się czarnymi kroplami. Po nagich pniach ścieka brudna woda. Idzie jesień, smutna i długa. Pobiegli na przystanek.

— Gizelo! Gizelo! — wołał przed siebie. — Spójrz, słońce świeci, ptaki śpiewają, wiosna na świecie! Dzięki tobie nawet Bochum ładniejsze od Capri!

Ach, już nadjeżdża przekłete pudło, już trąbi za rogiem!

— Kiedy cię znowu zobaczę? — wyrzucił ze siebie w popłochu na widok nadjeżdżającego autobusu. — Może jutro?

Twarz jej zmalała pod ceratowym kapturem.

— Dopiero za tydzień — zawołała — a może za dwa...

— Dlaczego? — poczuł ból pod sweterkiem.

— Bo widzisz... w związku z tymi przykrościami, jakie spotykają ojca — mówiła z wysiłkiem — wyjeżdżamy z mamą do Szwajcarii...

Autobus już hamował. Kilku niecierpliwych rzuciło się ku drzwiczkom.

— ...więc ojciec też mówi, żeby wyjechać na jakiś czas, tak będzie lepiej. Na pewno czytałeś w gazecie... ale mój ojciec jest niewinny!

— Nic nie wiem! — skłamał. — To jest...

Wiedział. Całe miasto wiedziało. Nie było dnia, żeby nie mówiono i nie pisano o „sprawie Scharffa”.

Biedna Gizela! Przytulił ją do siebie i pocałował w mokrą od deszczu grzywkę.

— Wszystko będzie dobrze! — zakrzyknął na pożegnanie. — Ja jestem po twojej stronie!

Wracając do domu, wystawił twarz na deszcz. Zimny, mokry okład studził gorące czoło, kołł smutek rozłąki. I zaczął się po chwili zastanawiać, czy powiedział prawdę. Oczywiście, jest po jej stronie, ale... Ale czy po stronie jej ojca? Jeśli prawdą jest co o Scharffie powiedział kiedyś profesor Brandt, a Brandt na pewno nie należy do kłamców... Przypomniawszy sobie szczegóły, który ostrą drzazgą zaszedł mu za skórę. Rok temu podarował Gizeli na urodziny wzruszającą opowieść o rodzeństwie Scholl pod tytułem: *Die weisse Rose*, wspomnienie bezimiennego bohaterstwa kilkorga studentów, zbuntowanych przeciw potęgze wielomilionowej masy. Następnego dnia książka wróciła przez pocztę z karteczką: „Proszę nie przysyłać mojej Córcie takich podarków — Walther Scharff”. Słowo „takich” było podkreślone dwa razy...

„Rodziców nikt z nas sobie, niestety, nie wybiera — powiedział kiedyś pastor Pfirsich. — Rodziców dostaje się w podarku od Pana Boga”...

Arturek rozwiązał apaszkę pod szyją i znowu westchnął.

Kiedy stary Praxmeyer znowu przysłał z Wiednia komplet znaczków pocztowych, tym razem na *poste restante*, Arturek przpuścił szturm do ojca:

— Sam już widzisz, drogi Papsie — zagał przy kolacji — że jestem dorosłym mężczyzną, wasy mi się sypią, w bociany już nie wierzę, wolno mi chodzić na filmy niedozwolone dla młodzieży, za parę miesięcy kończę szkołę...

— Brawo, brawo! — posłyszał śmiech ojca.

— Uszanuj więc moją dojrzałość i powiedz mi wreszcie, co jest, *zum Kuckuck*, z bojkotem dziadka Valentina? Tajemnica rodu Rodriganda?

Ale ojcu z miejsca popsuł się dobry humor.

— Nic ważnego, młody detektywie, nie ma żadnej tajemnicy! — nasrożył się jak indor. — Niesympatyczne dziadziśko, to wszystko. Intrygował między mną a mamą. Trzeba ci wiedzieć, że Praxmeyerowie przy wszystkich swoich zaletach to prości ludzie, z wiedeńskiego gminu. *Viel Gemuetlichkeit, aber wenig Bildung*...

— O jej, a my co za jedni? zezłościł się Arturek. — Arystokracja z czasów Barbarossy? Kawalerowie maltańscy czy co?

— Ostermannowie byli niegdyś majstrami u Kruppa, to fakt — odpowiedział Paps, wyraźnie urażony — ale nigdy nie kelnerowali.. A już mój ojciec był inżynierem!

— I dlatego mamy unikać starego Valentina?

— Powtarzam ci: to ciasny, parafiański łeb. Jeszcze dzisiaj nie może odżalować, że nie wydał córki za jakiegoś wiedeńskiego „Kommerzialrata” czy c.k. urzędnika. Tymczasem jego jedynaczka, o zgrozo, wyszła za Westfalaka, w dodatku za ewangelika... Ale wołałbym już o tym nie mówić — ziewnął — jestem zmęczony! Jutro z samego rana jadę pod Darmstadt!...

Arturek wyszedł z pokoju, nie mogąc się oprzeć podejrzeniu, że Paps nie powiedział mu całej prawdy! Będzie to trzeba kiedyś sprawdzić... A może by tak po kryjomu wyskoczyć do Wiednia?...

Przeszedł długi, niekończący się tydzień. Jesienne dni kładły się na miasto dymem i sadzą, spływały lepkiem deszczem.

Spóźniał się ostatnio do szkoły, wyczekując listonosza na rogu ulicy. O, męko czekania na list, znana tylko zatrutym tęsknotą! Przedwczoraj — nic, i wczoraj — nic, aż wreszcie dojrzał błękitną kopertę ze szwajcarskim znaczkiem, przyniesioną plikami ciężkich gazet. Wyjął ją z torby ostrożnie jak ranną przepiórkę z tarniny, wygładził zmarszczki i pomiecia. Serce zabiło w nim silniej, z zakłopotania uściśnął rękę listonoszowi.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — wymamrotał, zaczerwieniony.

List od Gizeli! Stempelek: St. Moritz. Drżącymi palcami wypruł chrząszczącą podszewkę koperty. Owiał go zapach perfum. Arturek patrzył na kulaski, niegodne osiemnastoletniej, a więc już dorosłej kobiety, i z początku nie widział nic: koślawe literki pływały w powietrzu, każda z osobna wzbijała się ponad brzeg listu, trącała go lekko w palce, pięła się na parkan sąsiedniego ogrodu, znikwała w zrudziałej zieleni...

Gizela! Przerazona twarzyczka pod ceratowym kapturem, czarne szklivo, przytrzępotane rzęsami... Wbiegł do najbliższej bramy i przez sypiącą się z czoła czuprynę zaczął czytać...

„Kochany Turciu — mówiła z daleka, słyszał jej cichy, niesmiały głos — nawet nie wiesz, jak mi tutaj smutno bez Ciebie. Mieszkamy w pensjonacie o dziwnej nazwie „Bonjour”. Z mojego okna widać śnieg i wspaniałe góry, ale stale myślę o naszym pięknym parku i o ostatniej przechadzce z Tobą...

— Ja też! — szepnął ku nieforemnym literkom.

„...Mama nie wstaje z łóżka i stale popłakuje. Podobno profesor Brandt namawia was, abyście całą klasą wybrali się do Teisendorfu na rozprawę. To do niego podobne. Jeśli mnie choć trochę lubisz, nie rób tego. Nawet jeśli myślisz, jak inni, że mój papa jest winny. Ludzie go nie lubią, jest surowy i wymagający, ale my w domu znamy go chyba najlepiej. Ach, sama już nie wiem i staram się o tym wszystkim nie myśleć. Winny czy niewinny, jest przecież moim ojcem. Nigdzie tutaj nie wychodzimy. Mamie wciąż się zdaje, że ludzie pokazują na nas palcami. Siedzę na werandzie i wkuwam ohydny łańcuch, żeby przez te sądy i rozprawy nie ostał na drugi rok. Może mi się uda wyciągnąć mamę na wieczór na „Love in the afternoon”. Wiesz, kto gra? Nasza ulubiona Audrey Hepburn, cośmy ją razem widzieli w „Roman Holiday”... A właściwie, to może jednak... jedź do tego Teisendorfu? To przecież tak jakbym ja tam była. Sama już nie wiem. Napisz mi, proszę, długi i wesoły list... Pozwala Ci się pocałować (w policzek) Twoja — Gizela”.

Arturek znowu westchnął, chyba po raz setny w tym tygodniu, i schował list do kieszeni. O! Gdyby tak teraz wpadł na starego Scharffa, powiedziałby mu prosto w oczy: „Widzisz, człowieku, coś narobił!”...

Kwadrans po ósmej! Znow się spóźni! Studienrat Jacobi otworzy mu drzwi do klasy przesadnie grzecznym ruchem i znow wypowie ten sam kretyński dowcip: „Punktualność jest grzecznością królów. Od razu poznać, że Ostermann jest republikaninem!”...

Puścił się w stronę szkoły aż ołówki, cyrkle i linijki zaklekotały w głębi teczek. Dopiero w pobliżu parku, na widok znajomej alei, zwolnił kroku. Tak, to było tutaj, pod wysokim kasztanem... Miejsce łatwo rozpoznać, choćby po zmaczanym oddechu. Jak liść mokry do czoła przylgnął mu do serca werset gdzieś zasłyszany, bodaj strzęp dawnej piosenki z różowego saloniku:

„Denk im Traum, dass wir uns lieben
und dass wir uns nie verlieren...”

Za tydzień proces Scharffa! Dopiero za tydzień!...

Najsmutniejsze są niedziele. Smutne i zakłamanie od samego rana. Emma pędzi do swojej parafii, gdzie zdartym altmem śpiewa na chórze, a Paps nakłada melonik i jedzie do zboru.

— Nie trawię Pfirsicha — stęka po drodze. — Już za samo wysłuchiwanie jego dyletanckich bredni o wodrze i kobalcie należy mi się jakaś premia na tamtym świecie, ale trzeba się pokazać...

Arturek jest zgorszony.

— „Pokazać?” — pyta.

— Jestem pracodawcą. Zatrudniam setki ludzi. Nie mogę nie iść do kościoła. To należy do moich obowiązków...

— ... handlowych! — wtrąca młodzieniec z piekącą ironią. — Powinieneś więc w jedną niedzielę zaglądać do zboru ewangelickiego, a w drugą odwiedzać kościół katolicki. Klienta jak wszędzie...

— Żebyś wiedział! — mówi Paps na serio. — W dwudziestą rocznicę „Kristallnacht”, „Sanitas” otrzymał listę składek z Bonn, oczywiście dobrowolnych. Nie mogłem nie posłać tysiąca marek na odbudowę spalonej synagogi w Hamburgu...

Arturek poczuł się tą rozmową zawstydzony. Żałował, że los dyrektora Zakładów Chemicznych — pomyślał ze smutkiem. — W stałej gonitwie za kompromisem. Z władzami dobrze, z kościołem dobrze, z wojskiem dobrze, z wszystkim dobrze...

Weszli do środka. W pierwszej ławce siedziała pastorkowa, kubek w kubek podobna do swego męża. Taki sam Pfirsich, tylko w spódnicy. Arturek od razu przypomniał sobie iście starokawalerską szpileczkę Brandta: „Kochające żony po wielu latach pożycia małżeńskiego robią się podobne do swoich mężów. Nic dziwnego: także i dozorczy więzienni po długoletniej służbie upodobniają się fizycznie do pilnowanych przez siebie przestępców”...

Pastor Pfirsich, nieduży, ascetyczny człowieczek, z reguły prawiący kazania podenerwowanym, zbyt wysokim głosem, tym razem nie mówił o wodrze ani o kobalcie, ale opowiedział wiernym o jakimś młodym człowieku, który niegdyś był działaczem „Hitlerjugend”, a po wojnie gdy się dowiedział, jakim bogom służył, pojechał do Izraela i tam jako zwykły robotnik buduje drogi za pokutę...

— Bajeczka dla grzecznych dzieci — dobiegł ich szept z sąsiedniej ławki. — Pfirsich się postarzał...

— Skarżymy się często — wołał zasuszony, do puszczyka podobny pastor — że wyrządzono nam wielką krzywdę, pozabijano nam najbliższych, rozdarto nam ojczyznę, ale czy pamiętamy przy tym o krzywdach wyrządzonych innym? I myśmy

zabijali ludzi, rozrywali obce kraje na ćwierci, deptali prawa ludzkie i boskie! Ile zbrodni, ile spalonych miast i wiosek, ile krwi i łez ciąży na naszym sumieniu! Gdyby na gigantycznym stosie ułożyć na sobie ciała pomordowanych Żydów, urosłaby góra wielokrotnie wyższa od najwyższego szczytu świata!...

— Niesmaczne! — skrzywił się Paps.

— Czy pomyślał kto z nas, że trzeba to wszystko naprawić? — ciągnął pastor — Każdy z nas *osobiście* odpowiada za grzechy braci swoich...

— Nonsens! — szeptał malkontent z sąsiedniej ławki — Każdy odpowiada tylko za siebie!

Jedna z gazet oskarżyła pastora ostatnio o „obrazę munduru”. I tej sprawie poświęcił kilka rozgiewanych uwag:

— Gdybym był napadł na straż ogniową — irytował się na ambonie — która, jak wiemy, nie wznieca pożarów, ale je gasi, uważałbym zarzut za słuszny. Ale wojsko, najkoszmarniejsza instytucja, jaką znają dzieje ludzkości, instytucja służąca do obcinania rąk i nóg, wypruwania jelit, oślepiania, zatrutowania gazem, palenia fosforem, trawienia gąsienicami! Martwiłbym się, gdyby mnie ktoś oskarżył o obrazę munduru kolejowego lub pocziarskiego, bo to szlachetne, użyteczne zawody, ale wojskowego?...

— Pacyfista! — rozległ się syk w sąsiedniej ławce. — Nie brak wojen w słusznej sprawie.

Po sumiennym odśpiewaniu wszystkich na tablicy numerkami zapowiedzianych psalmów (Paps, o dziwo, śpiewał z pamięci, ani razu nie zajrzał do kancjonału), wyszli na ulicę. Na progu świątyni Paps uściśnął dłoń kilkudziesięciu znajomym, wypytał ich o zdrowie, pogratiłował pastorkowi znakomitego kazania, a gdy wsiedli do samochodu, powiedział:

— Chwała Bogu, skończyło się! Poziom intelektualny Pfirsicha kwalifikuje go na misjonarza w głębi Afryki. Ten człowiek ma nas za niedorozwiniętych umysłowo Murzynków. Jestem gotów podarować dwa tysiące marek na założenie takiej placówki w Kongo czy w innym Kamerunie, byle tylko pastora przenieśli tam jak najszybciej! A ludożercy, który się złakomi na ten żyłasty kasek, gotów jestem posłać środek na przeczyszczenie...

Chłopiec się nie roześmiał. Ten typ humoru był mu zbyt westfalski. Natomiast Paps, szczerze zadowolony z własnego dowcipu, wybuchnął głośnym śmiechem. Arturek od razu przypomniał sobie podobny śmiech. Przed paru dniami w kinie, w kronice aktualności, pokazywano tłumy chińskiej biedoty ewakuowanej z ruin zbombardowanej wysepki: załadowane betamiraksze, bosa dzieciarnia, staruszki zgięte pod ciężarem olbrzymich tobołów, ranni kuśtykający o kulach. Przypadek chciał, że ślizgający się po tłumie obiektyw na jednym z wózków pośród rupieci i garnków uchwycił na sekundę nocnik. Spozstrzegawcza tłuszcza ryknęła potężnym śmiechem. Przez parę minut całe kino

szalało z radości. „— *Ha-ha-ha! Ein Nachtgeschirr! Ein Nachttopf! Zum totlachen!*... Oto i całe Bochum!

— Pastor Pfirsich, jak każdy porządny człowiek — odciął się ojcu — nie ma zbyt wielu przyjaciół...

Za trzy dni proces Scharffa!

Uczepił się tej daty kurczowo, jakby miała oznaczać punkt zwrotny w jego życiu i jakby od niej Bóg wie co zależało na świecie, a to tylko rosnąca niecierpliwość serca, a to zwykła tęsknota... Mija nowy tydzień odkąd Gizela wyjechała do Szwajcarii, a wydaje się że minęło kilka długich i ciężkich lat. Jeszcze trzy dni do tego nieszczęsnego procesu, który zasmuca im życie. Przekłete Bochum! Uciec stąd na drugi koniec świata, zostawić za sobą czerwone mury i czarne sztachety! Snuł się po bezludnym parku, przygarbiony samotnością i tęsknotą. Dopiero teraz, za dnia, dostrzegał brzydotę rozdeptanych liści w kałużach. Bolał go widok odrapanych ławek z wyciętymi sercami na poręczach. Wyskubana łączka, którą biegli ostatnio ze śmiechem, przypominała torfowisko. Wszystko umierało w powietrzu. Nawet wróble na nagich gałęziach wydawały mu się zachlapanie błotem i odarte z pierza...

A może należało pobiec wraz z tysiącami barbarzyńców do hali gimnastycznej na koncert zamorskiego mistrza Rock'n' Rolla, Billa Haley'a? Już pięć wozów policyjnych i dwie motopompy magistrackie popędziły w tamtą stronę! Znowu będzie ryk, tupot, łamanie krzesel, dziki taniec na ulicy i bijatyka z policją...

— Dziwne z ciebie stworzenie, Turciu, — powiedziała kiedyś Gizela. — Ty lubisz się smucić. I nigdy nie wiem o czym ty naprawdę myślisz...

Paps znowu wyjechał. „Sanitas” pochłania go całkowicie. Tym razem jakaś ważna konferencja we Frankfurcie, a potem krótki wypad pod Darmstadt: otwarcie nowego laboratorium...

— W ciągu dwóch ostatnich lat potroiliśmy obroty! — oznajmił przed wyjazdem. — Nasze wytwory znane są na światowym rynku. Marka „Sanitas” *made in Germany* nie jest już pustym pojęciem ani w Kapstadt ani w Manili, ani w Reykjavik ani w Damaszk! —

— Gratuluje! Starasz mi się, chłopcze! — mówi Arturek, dumny z ojca. — W nagrodę za pilność dostaniesz ode mnie rower na Gwiazdkę!

I jednocześnie żałuje, że nie pociąga go chemia ani zarysowujące się w dalszej perspektywie objęcie „Sanitasu” po ojcu.

— Nie da rady! — śmieje się Paps — siodełko pęknie pod moim ciężarem. — Serwus! Zadzwoń do ciebie z drogi!

Całuje go w czoło i przeskakując stopnie zbiega do samochodu, niewolnik zegara i rosnących z każdym rokiem obrotów.

— Dlaczego ty tyle harujesz? — zapytał kiedyś ojca ze

współczuciem, widząc że Paps leży na tapczanie blade, z worakami pod oczami.

— Żebyś miał kiedyś lepiej niż ja miałem — odpowiedział.

— Było ci dawniej źle?

— I źle i dobrze, rozmaicie — odwrócił się twarzą do tapety. — Dobra noc, Turciu! Jutro jadę pod Oldenburg!

Taka to i z nim rozmowa. Biedny *Untertan* „cudu gospodarczego!” Nie ma czasu na rozmowę z własnym synem...

Na szczęście jest jeszcze na tym świecie zany profesor Brandt. Dobry dziadzio przyjmuje swoich uczniów — sam tak niedawno zapowiedział — „o każdej porze dnia i nocy”. I tym razem wyją z biurka butelczynę „Pfälzera” i tym razem przez kilka minut nie mógł znaleźć schowanej pod papierami drugiej szklanećki, na której zresztą bieleły się ślady pasty do zębów. Ciasna klatka na ostatnim piętrze czynszowej kamienicy, wypełniona była po brzegi lepkiem zapachem starych książek i zleżałych gazet. Papier, klej, farba drukarska w jednej, zbitej galarecie. Powietrze tak gęste, że można je nożem ciąć. A na pokrytej zielonym liszajem tapecie wisi, wycięta z żółtej gazety, główka jakiegoś jegomościa ze szlifami.

— Któż to taki?

— Herr Oberstleutnant Richard Hentsch!

— A dlaczego tutaj wisi?

— Powiesiłem go z wdzięczności — śmieje się „Krzywonoś” — To współtwórca „Cudu nad Marną” mimo woli... Wyślany przez von Moltkego, w sierpniu 1914-go, do pierwszej linii dla rozpoznania sytuacji na miejscu, szczęściem od Boga stracił nerwy i nakazał odwrót. Człowiek, który uratował Paryż przed naszymi wojskami...

— I dlatego pan profesor powiesił go nad łóżkiem?

— A tak, panie kolego, bo ja kocham to miasto. Milszy mi Paryż w rękach Joffre'a i generała Galliéni (tego co sześćset taksówek rzucił na front), niż zwycięskich wojsk Wilhelma Drugiego...

Ojciec Gizeli zadrżałby na te słowa, a mój Paps z Grafem von Wickenbergiem chwyciłby się za głowę — pomyślał Arturek. — Typowa „wypredaź najcenniejszych wartości”...

— Jeśli ma pan czas i ochotę, Arturku — Brandt podniósł szklanećkę na wysokość nigdy nie przyczesanej, niesforne piórkami nasrożonej skroni — podskoczmy razem do hotelu „Westfalen”, do mojego *socius doloris* z obozu w Dachau, do mistrza Joachima Mauritiusa?

Arturka ogarnęły aż dwie fale zdumienia na raz. Pierwsza: że mają iść do sławnego pisarza Mauritiusa, autora tłumaczonego na obce języki i bodaj nagrodzonego w Paryżu „Drutu”. A drugie: że Brandt był w obozie! Nigdy im o tym w szkole nie mówił...

— A tak, tak — mruknął niechętnie. — Próbowałem się kiedyś przekraść do Szwajcarii. Nie udało się. Przewodnik był

na usługach policji. To wszystko. Ale śpieszmy się, na Boga, bo wielcy ludzie nie lubią czekać...

W drodze do hotelu Brandt wyjaśnił Arturkowi, że „Związek Byłych Ofiar”, do którego należy, powierzył mu wydanie albumu wspomnień w piętnastą rocznicę otwarcia bram i że koniecznie musi wciągnąć do współpracy Mauritiusa. Jakie szczęście, że sławny pisarz przyjechał na wieczór autorski do Bochum i jutro czyta w teatrze...

— Byli kacietowcy, to nie pierwsi chrześcijanie! — szepnął młodzieńcowi na progu „Westfalen”. — Mauritius niewiele ma w sobie słodczy, to dosyć cierpkie zjawisko. Przygotujmy się, panie kolego, na najgorsze!...

— Ale po co ja tam idę? — przeraził się Arturek. — Przecież ja nie mam z tym nic wspólnego...

— Takie wizyty są bardzo pouczające — powiedział „działek do orzechów” w windzie. — Ze wszystkich nauk na świecie tylko jedna jest naprawdę pasjonująca: wiedza o człowieku.

Rzeczywiście, Mauritius wstał od biurka z nieukrywaną niechęcią. W obcisłej marynarce z za krótkimi rękawami bardziej przypominał handlarza nierogaczyn, niż człowieka pióra. Przesadnie powolnym, chyba pół minuty trwającym wydobywaniem tułowia z fotela podkreślił że mu przeszkadzono w twórczej pracy, a palce wcisnął przybyłemu w dłoń od niechcenia, jak jałmużnę.

Dobrze wiem dlaczego nie lubię literatów — pomyślał Arturek — są to ludzie z reguły chorobliwie zarozumiali, głęboko przekonani o swojej urojonej przewadze nad technikami, kupcami czy też urzędnikami w służbie państwowej.

— Ciesz się — zaczął Mauritius, przecierając okulary w koniec krawata — chociaż jestem bardzo zajęty. „Związek Byłych Ofiar?” „Album Wspomnień?” Niech Bóg zachowa! Inna, ważniejsza robota stygnie mi na biurku.

— Czy naprawdę nie już ciebie nie łączy z naszą organizacją? — Brandt nie tał swego rozgoryczenia.

— Nic. Absolutnie nic.

— Wobec tego... — podniósł się profesor.

— Chwileczkę — położył mu Mauritius dłoń na ramieniu, i nie zważając na „stygającą robotę” obdarował gości dłuższą rozmową. — Spotykamy się dość rzadko...

— Właśnie... dlaczego? — zmartwił się szczerze Brandt.

— Po pierwsze: na kłiwie pielgrzymki do dawnych miejsc kaźni już nie jeżdżę. Drażni mnie księzowski dyszkant mówców, gdy rękami odświętnie splecionymi na brzuchu pieją ponad kolczasty drut: „My o was, zamężeni bracia, nigdy nie zapomnimy!” Przesada. Zapomniemy. Jużemy zapomnieli. My c h c e m y zapomnieć. Tylko jakoś nikt nie ma odwagi przyznać się do tego. Tymczasem jeden rzut oka na waszą uroczystość wyjaśnia wszystko: tu zakopcone drzwiczki pieca, jama, popiół, nosze jeszcze krwią prze pocone — odcisk śmierci jak na turyń-

skim całunie, a tam lśniące drzwiczki limuzyny, którą po złożeniu wieńca można uciec do kina...

— Demagogia, niegodna Joachima Mauritiusa! — przerwał mu Brandt, niezbyt uprzejmie.

— Po drugie — ciągnął autor „Druetu” tym samym nieprzyjemnym tonem — o odszkodowanie też się nie ubiegam, czując niestosowność tego kroku: czy można się domagać pieniędzy za t a m t o? Jak byś wystawił rachunek za pobyt w czyścicu czy w piekle. Chociaż ten spryciarz Max Vogel za wyprocesowaną od rządu sumę już wybudował sobie nocny lokal w Brukseli z akwariem, neonem i włoską orkiestrą. Tamta męka już mu się z nawiązką „opłaciła”: za jedną noc ze „strip-teasem” zgarnia tysiące franków do kieszeni... Po trzecie — szedł dalej — zjazdów koleżeńskich w rocznicę Uwięzienia, Pierwszego Wylamania Ręki ze Stawu, Wielkiej Dezenterii, i oczywiście, Oswobodzenia, unikam jak ognia. Zawsze to samo: wspominki, łażą się kręci, podświadomy podziw dla oprawców, niezdrowa radość z wzięcia w skórę: „A czy pamiętacie jeszcze tego grubasa z blizną pod okiem, no — jak on się tylko nazywał? Bykowiec ze stalową skuwką nosił pod pachą! Potrafił zapalić papierosa, nie przerywając bicia! Artysta! Wirtuoz! Jak człowiekowi przypieprzył (młasknięcie językiem na znak uznania), to aż kurz szedł po majdanie!”

Brandt spuścił głowę, wyraźnie stropiony.

Po co tutaj przyszedłem? Cóż mnie to wszystko obchodzi? — pomyślał z niechęcią Arturek. — Mało mam swoich kłopotów? Matura za kilka miesięcy, biedna Gizela zamartwia się w Szwajcarii, za trzy dni proces jej ojca...

— „Związek Byłych Ofiar”! — rozgałał się autor „Druetu” na dobre. — Posyłam wam obłudny list, w którym przy całej sympatii dla idei i szacunku dla jej krzewicieli wymawiam się obłożną chorobą. Bogiem a prawdą, niewiele mnie z tymi ludźmi łączy. Nawet t a m niewiele mnie łączyło. A co dopiero dzisiaj, gdy każdy z nas poszedł swoją drogą. Ciekawiej by było (tylko mnie, proszę, nie zakrzycz!) spotkać się po latach z dawnymi strażnikami! Kto wie — może i na nich ciężar wczorajszych przeżyć odcisnął swój ślad fizyczny i psychiczny? Wyszczególniam się prawa wyłączności, krewni po Hiobie! Inni też cierpieli! Litujmy się nad strażnikami!...

— Nieźle, nieźle! — roześmiał się niepewnie historyk. — Słynna, tylekroć przez recenzentów oklaskiwana, iście Mauritiuśowska przekora, „odwaga nie-konformisty”, spacer kota samotnika własnymi drogami pod hasłem „wbrew”! Sam go zalecam moim uczniom... Cóż jednak wymaga dzisiaj większej odwagi i przekory: podważanie normalnie przyjętych zasad myślenia i postępowania czy też... ich obrona? O! Bynajmniej nie to pierwsze, ale dopiero to drugie naraża nas na niepopularność...

— Być może. W każdym razie przynależność do „wspólnoty obitych” jakoś mnie nie pociąga — odparł spokojnie Mauri-

tius. — Tytuł niedobitka wcale mnie nie zaszczyca. Wręcz przeciwnie: w cierniowej koronie czuję się upokorzony, jak bym wszedł między wystrojony tłum bez spodni. Na palmę męczeństwa spoglądam szyderczo niczym chłop na parasol. Tamci, na przykład, z wyjątkiem jednego Maxa Vogla, są święcie przekonani że wyczołgali się z tej gnojówki o całe piekło lepsi, oczyszczeni, bielsi nad śnieg, pałką beatyfikowani. A gdy ja, na równi z innymi batogiem wybierzmowany, mówię im że to była zwykła kloaka, zazdrośni o każdy dzień zniewagi, o każdy ząb wypłuty na „Wachstube”, skaczą mi do oczu: „Wara! Nie kalaj! To było Colosseum!”...

— I słusznie: to było Colosseum! — próbował mu prze-rwać profesor Brandt. — Ale ty wolisz bluźnić! Wiem nawet dlaczego bluźnisz, zakapturzony moralisto. Z miłości! Tak jest: z miłości do lepszego świata, z miłości do tamtych męczenników.

Mauritius roześmiał się niechętnie. Wstał od biurka i wszedł w krąg światła. Dopiero teraz Arturek mógł mu się przypatrzeć z bliska. Jakże trzeba się wystrzegać zbyt pochopnych porównań! Nie, to nie była twarz handlarza bydła. W głębi dużych oczodołów paliły się niespokojne oczy, twarz miał napiętą, czoło zmarszczone od nieustającej pracy myśli.

— Czy pamiętasz Papirnika, współsardynkę z tego samego pudełka? — podszedł do Brandta. — Dwa lata przeleżałem z nim na tej samej pryczy! Jakże mu mogę paść dzisiaj w objęcia i uściśnąć go jak brata? Przecież to świadek oskarżenia! Naoczny świadek każdej mojej klęski, każdego upadku i pohańbienia! On mnie jeszcze dziś widzi jak wyzeram zgniłe łupiny z wiadra, kąpiąc słabszych od siebie. Ja zaś widzę go zawsze w kałuży. W dużej, cuchnącej kałuży. Po sinej, siwą szczecinią poroślej tydce spływa moc z przeziębionego pęcherza. „Tylu młodych, wspaniałych ludzi ginie każdego dnia — dławiliem się wtedy nienawiścią — a ten stary, śmierdzący trup Papirnik co rana wypelza żywy ze swego kojca!”...

— Nie rokuję trwałego powodzenia twojej literaturze. Można się natrzasać z potężnego kata i z jego pomocników — powiedział Brandt — ale nie z jego bezbronnych ofiar. Chyba że człowiek wychodzi z Wielkiej Próby zarażony nienawiścią do swoich towarzyszy niedoli. Czyż nie oznacza to jednak pozagrobowego zwycięstwa oprawców?

— Być może — zgodził się Mauritius — być może...

I znowu mówił o sobie, ale Arturek już go nie słuchał. Czy też wszyscy nieprzeciętni ludzie mówią zawsze o sobie? — zamyslił się w kącie. — A może to zwykła poza ludzi pióra, którzy rzekomo przeżywają świat głębiej, i chcą nam w ten sposób objawić coś nowego? Paps, na przykład, chemik z wykształcenia, też jest na swój sposób człowiekiem nieprzeciętnym! Jego nazwisko figuruje w „Encyklopedii Gospodarczej”. Pod literą „O” stoi jak byk: *Ostermann Erich, dr chemii, ur. 6. 7. 1899 w Düsseldorfie*... Paps, wybitny chemik! Tylko raz go widział w laboratorium, olbrzyma z kropłomierzem w ręku, na

tle delikatnych próbek, kolb, retort, menzurek, słonia w składzie porcelany. (Pastor Pfirsich powiedział kiedyś żartem: „Nie przeceniajmy postępu w nauce. Najczęściej sprowadza się on do tego, że zamiast „chleba naszego, powszedniego”, możemy westchnąć: „tróchlorku azotu, benzolhexachloridu, kaliumbromatu, amonijumpersulfatu, daj nam dziś, Panie!”). Znają Papsa i cenią w kraju i za granicą. A jednak nigdy nie mówi o sobie; przeciwnie: unika zwierzeń jak ognia... Przesadna skromność!

A szkoda! — potarł czuprynę w zadumie. — W czym jego życie gorsze lub zasługi mniejsze w porównaniu z innymi? Na pewno jest szlachetniejszym człowiekiem od wielu „kapitanów gospodarki związkowej!” Co też Paps Ostermann mógł robić w tym czasie, gdy cierpki Mauritius z zacnym Brandtem siedzieli w obozie? Encyklopedia tego okresu nie uwzględnia. Bił się za ojczyznę? Na froncie, jak Scharff? Nie lubi wspomnień wojennych. Nie należy do żadnego „Kameradschaft”. Nie przechowuje medali w gablotce. A może przycupnął w jakimś laboratorium? Wrócił jednak z niewoli! Do której kategorii Niemców należał? Czy był szowinistą, jak Studienrat Jacobi? Czy tańczył z mamą po pokoju, gdy poprzedzane fanfarami komunikaty radiowe donosiły co dzień o nowym zwycięstwie? („Ledwie nasze wojska weszły do Paryża, — powiedziała kiedyś Gizela, — tatuś przysłał mamie z radości drogocenne futro w podarku!”) Czy wierzył ślepo, jak ojciec Gizeli? Czy wiedział, że bito przeciwników politycznych batem ze stalową skuwką? A może i on się buntował? Powinien się był buntować! Trzeba będzie go kiedyś o to wszystko zapytać. Już dawno należało go zapytać! — jął się obwiniać — ale widać i ja, prezes Klubu „Gorących Główn”, żyję pod słońcem „cudu gospodarczego” bezmyślnie niczym pierwszy lepszy miłośnik piłkarza Szymaniaka czy piosenkarza Haley’a. Przez tyle lat nie uważałem za stosowne zainteresować się życiem własnego ojca! Niewybaczalne! Arturze Ostermann, udzielam ci nagany!...

— Dzisiaj — doszedł go na nowo głos Mauritiusa — widzę, rozumiem i pamiętam niejedno lepiej, a także piszę inaczej niż zaraz po wojnie, kiedy to z organizmu wyrzucałem truciznę przeżyć w gorączkowym pośpiechu. Dzisiaj już wiem, że taka „fizjologia” mści się na pisaniu, ale wtedy, egoista, myślałem tylko o sobie, czytelnik dla mnie nie istniał, bałem się po prostu, by jad pamięci nie rozlał się po moim mózgu i sercu na zawsze.

— Miejmy nadzieję, że się nie rozlał — westchnął Brandt.

— Nie jestem tego pewien — odrzekł Mauritius.

Nastała cisza. Brandt już nie wracał do swego niefortunnego albumu w piętnastą rocznicę otwarcia bram. Czas było się zbierać do wyjścia. Dwunasta w nocy! Zasiadzieli się, nic nie załatwiając.

Dopiero teraz sławny pisarz dostrzegł Arturka.

— Oto najmłodsze, o ile od nas szczęśliwsze pokolenie! — zapalił życzliwe światełko w oczodołach. — *Sursum corda!*

— Któż to może wiedzieć? — zawahał się profesor. — Czas dopiero pokaże...

— Oni już są na innym brzegu! — upierał się Mauritiusz. — Nie zarażeni śmiercią. Nie zatruci nienawiścią. Bez garbu wspomnień. Na pewno słuchają naszych ponurych opowieści jak bajki o żelaznym wilku...

— To byłoby straszne — powiedział Brandt.

— Masz rację! To byłoby straszne — zgodził się Mauritiusz, wrócił się od drzwi, otworzył walizkę. Spod sterty koszul wydobyl egzemplarz swojego „Druku”. Na szarej okładce pokazał się kolczasty wzorek. Długo strząsał atrament z pióra, jeszcze dłużej marszczył czoło w namyśle, wreszcie wpisał dedykację, jak na smak Arturka, za bardzo napuszoną:

Tylko jeden człowiek może naprawić zło, a jesteś nim zawsze: Ty! — Uczniowi mego Przyjaciela — Joachim Mauritiusz.

Mądrość ze ściennego kalendarza! Studienrat Jacobi kłania się panu Mauritiuszowi...

Także i Brandt nie był zadowolony z odwiedzenia pisarza, bo na ulicy mruknął:

— Powstał w naszych czasach nowy typ literata: „poeta kaceticus”, artystyczny rzeczoznawca ludzkich okrucieństw...

A jednak jeszcze tej samej nocy Arturek zabrał się do czytania podarowanej książki. Już po kilku stronach nie mógł się od niej oderwać. Pół przytomny, z gorączką w oczach chłonał ją jednym tchem przez całą noc — aż do rana. Bił z niej ogień miłości człowieka. Ciche męstwo nieznanymi ludźmi przewyższało rozpacz i strach. Była to opowieść okrutna i przejmująca, ale nie beznadziejna. Aż dziwne, że mogła wyjść spod pióra rozgoryczonego Mauritiusa. A może bełkotolog Jacobi ma rację, mówiąc że pisarze stają się nieraz „sekretarzami nieznanej siły”?

W jednym z ostatnich rozdziałów natrafił na scenę nieprzeczuwaną. Dniało już za oknem, pierwszy autobus przetoczył się za ścianą, gdy zaczerwienionymi oczami wpadł na nową stronę...

„Dzisiaj niedziela. Od Alp wieje ciepły wiatr.

„Knecht Ruprecht”, solidny, tępy Bawar, wychowany w duchu prawdomówności i obowiązku, przywiązany do życia rodzinnego (fotografie żony i dzieci nosi przy sobie), zapowiedział w przystępie dobrego humoru, że kto obchodzi dzisiaj urodziny, dostanie podwójną porcję chleba, ale biada temu kto go okłamie...

„Zgłasza się dwóch solenizantów: Kowalski i Albrecht.

„Knecht Ruprecht” każe im wystąpić z szeregu. Najpierw udaje się do kancelarii a potem do kuchni. Po kwadransie wraca z podwójną porcją chleba.

„— Sprawdziłem w papierach — mówi rozgoryczonym głosem. — Okłamano mnie! Tylko jeden z was ma dzisiaj urodziny, a jest nim...

„— Ich! — woła Kowalski.

„— Ich! — woła Albrecht.

„— Jest nim... — zawieszając głos strażnik — jest nim...

Patrzy na jakiś papier, przygląda się jakiejś kartce.

„— Jest nim... Albrecht! Życzę ci wszystkiego dobrego! — podaje mu rękę. — Tutaj jest twój chleb! A Kowalski mnie okłamał, dieses Schwein! I dlatego poniesie zasłużoną karę...

„Wymuje rewolwer. Nawet nie mierzy. Dwa strzały w brzuch. Zabija kłamcę na miejscu.

„W tej samej chwili podbiega na spuchniętych nogach Brandt.

„— Zabij mnie też! — krzyczy.

„— Tyś nie skłamał!

„— Ale ja chciałem skłamać. W ostatniej chwili zabrakło mi odwagi — upiera się profesor. — Mój strach okazał się silniejszy od głodu! Strzelaj!

„Knecht Ruprecht” nie wie co zrobić. Podnosi rewolwer. Opuszcza rewolwer. Wreszcie z okrzykiem: So ein Idiot! uderza Brandta pięścią w twarz i odchodzi. Profesor pada ze złamanym nosem w glinę. A kiedy po jakimś czasie wraca do siebie, Albrecht wciska mu chleb w ręce.

„— Nie chcę! Nie chcę tego podarku! — mówi z wykrzywioną twarzą. — Ten tępy Bawar się omylił! To jest porcja Kowalskiego! To ja skłamałem, ja, a nie Kowalski! O, Gott, o Gott!...”

O Gott, o Gott — ukrył Arturek twarz w dłoniach. — Nasz Brandt dostał pięścią w twarz i upadł ze złamanym nosem w glinę...

Pojutrze rozpoczyna się proces ojca Gizeli.

Scharff, jak piszą gazety, jest dobrej myśli. „Wierzę w sprawiedliwość” — oświadczył dziennikarzom.

Czy wybrać się na rozprawę czy lepiej zostać w domu?...

— Nad czym znowu medytujesz, młody melancholiku? — słyszy głos Papsa. — Weltschmerz, katarek psychiczny?

— Zastanawiam się właśnie, czy istnieje sprawiedliwość na świecie.

— Nie masz innych zmartwień? — mówi Paps z politowaniem; co gorsza: w głosie jego dźwięczy ironia. — Owszem, istnieje, ale nie dla wszystkich... Ale skąd ci takie myśli przychodzą do głowy?

— Bo ja wiem?... — zamyka się w sobie Arturek. — Mnie różne myśli przychodzą do głowy...

Ze omszonym murem, na drodze biegnącej wzdłuż torów, rozrywają asfalt pneumatycznym świdrem aż ziemia drży pod stopami i bluszcz dygoce na wielkiej, murowanej bramie z gotyckim napisem. Poobiednia mgiełka zaraz zbrązowieje, zbije się w gęstą maź, przybierze barwę i zapach zgniłych liści. Nawet stąd widać miasto. Nie ma ucieczki od jego brzydoty i zgieł-

ku. Między topolami sterczą dymiące kominy, nad pękniętym skrzydłem anioła co jakiś czas pokazuje się bukiet pary, tryskającej z przejeżdżających lokomotyw. Gdy cichnie na chwilę świder, słychać trajkot przetaczanych wagonów. Na niebie żółty dym, na ziemi żółta mgła, pod ziemią ryją noc i dzień, i jeszcze ten anioł złowrogi, bohomaz z marmuru...

— Nie chciałbym tutaj leżeć — wzdryga się Arturek — za wiele Bochum!

W rocznicę śmierci mamy (już dziesięć lat) przyjechali tu z Papsem i z Emmą. Po złożeniu wieńca Paps usiadł na kamiennej ławce ze spuszczoną głową i zapatrzył się w żwir na ścieżce. Z twarzy zwisały mu fałdy żółtej skóry; bardzo się ostatnio postarzał. Emma modli się z grubej czarnej książki, klęcząc po chłopsku z twarzą przy kamiennej płycie. Biedny Paps! Arturek przygląda się górze mięsa, opiętej w czarne palto, z litością. Melonik w rękę, sztuczkowe spodnie, skórzane rękawiczki... Ojciec! — myśli. — Cóż za dziwna instytucja! Na pół biologiczna, na pół mistyczna, opromieniona aureolą biblijnych patriarchów, uznana od wieków za fundament społeczny. Człowiek po którym dziedziczyć pewne cechy, który żyje we mnie nadal i żyć będzie nawet wtedy, gdy złożą go w ziemi, pień z którego odrastam gałęzią... Okrutne odkrycie: uświadomić sobie naraz, że każdy z nas jest żywym cmentarzem, nosi w sobie dziesiątki zmarłych! „Zawdzięczam mu” życie (już w tym słowie tkwi nakaz wdzięczności), ale i całym swoim życiem ponoszę za niego odpowiedzialność... Człowiek, który czuwa nad moim dzieciństwem i młodością, póki z rozpostartymi skrzydłami nie poderwę się do lotu; powinienem go darzyć miłością... I znowu wyłania się koszmarny biblijny z dzieciństwa: chłopiec spętany na ołtarzu z polnych kamieni i naciętego drzewa, z głową kędzierzawą w tył odchyloną, a nad nim prorok zawzięty z nożem wzniesionym do ciosu...

Paps ściera rękawiczką krople z czarnej płyty, zwala swe potężne ciało na kolana, ze spuszczoną na piersi głową zastyga w modlitwie. W tej samej pozie na japońskim filmie jeden ze skazańców oczekiwał na stracenie. Arturek z coraz większym wysiłkiem odpycha od oczu i od myśli nacierając na niego ze wszystkich stron tyralierkę krzyży, obelisków i aniołów; radby rozerwać zaciskającą się wokół szyi cementową obręcz grobów...

Umyślnie odwraca myśl w stronę ostatniego zebrania „Gorących Główn”. Profesor Brandt w dyskusji o literaturze współczesnej powiedział: — „Niektórzy krytycy twierdzą, iż panująca w przedwojennej twórczości „pogarda dla ojca” wzięła się z pretensji pokolenia, doświadczonego kryzysem gospodarczym. Młodzi nie mogli przebaczyć rodzicom, że narzucili im na ramiona ciężar „świata bez stabilizacji”. Mój Boże! Jeśli to ma być prawda, to aż strach pomyśleć o tej fali już nie pretensji, już nie pogardy, ale nagiej nienawiści, jaką musi wybuchnąć pokolenie wychowane na pobojuwisku najstraszniejszej z wojen!

Zobaczycie: doczekamy się aktu oskarżenia, sędziami będą dzieci morderców...”

Próżne wybiegi pamięci! Otacza ich cmentarz! Zasłonił uszy przed świdrem, wdzierającym się w głębi czaszki, powiódł oczami po alei zgniłych liści, po wawozie marmurowej brzydoty, i nagle zdjął go lęk. To ma być wszystko, co po nas zostaje? Kupa sfermentowanych liści, kawał marmuru, seryjnie wykuty anioł?

„Jedyna ważna sprawa w naszym życiu, o której warto myśleć, mówić i pisać, to nasza śmierć — przypomnieli sobie zdanie z książki Mauritiusa — *reszta jest złudzeniem. Z wielu słów, które nic nie znaczą, ale załamują nasz umysł, jedno dokucza mi najbardziej: pusty, nieszczerzy zwrot „die Todesverachtung” (pogarda śmierci)*...” Czy nie ma spraw dla których warto poświęcić życie? — ogarnia go niepokój. — Przecież w książce tego samego Mauritiusa ludzie poświęcają się niemal na każdym kroku... W imię czego?... „Biorąc sobie za busołą dialogi młodego Seneki, najmądrzejszego ze stoików — powiedział wczoraj nieznośny dydaktyk, Studienrat Jacobi — wielki Waszyngton, będąc w waszym wieku, wypisał sobie na ścianie pokoju piękne hasło: „Pogarda śmierci rozjaśnia smutek życia”... A pastor Pfirsich mówi: „Nigdy nie zdobędziesz się na wielkość, jeśli się lękasz, że ofiarę twoją wyszodzi czas; musisz sobie powiedzieć, że od początku świata nic nie poszło na marne i wszystko miało swój głęboki, tobie nieznany, sens”... „Jesteś, Turciu, za miękki; nie zapominaj, że ciągle jeszcze żyjemy w dzikiej puszczy! — radzi z kolei praktyczny Paps, siłacz i zręczny Tarzan, umiejętnie przemyskający z gałęzi na gałąź, jednym uchwycem liany wymykający się spod tygrysiej łapy, wytrawny znawca dżungli. — W życiu trzeba wygrywać, zawsze wygrywać!” Ale czy to jest najważniejsze? Na pewno nie! Jak więc żyć? Ku czemu iść? Jaką obrać drogę?

Zapragnął nagle wysokiego lotu. Ach, zrobić ze swego życia piękną i wielką rzecz! Niechaj będzie piękne urodą serca, a wielkie wielkością ducha. Z gliny młodych lat ulepić coś nieprzemijającego i naprawdę wspaniałego, trwalszego ponad radość przelotnego sukcesu i szczęście sławy, piękniejszego ponad bohaterstwo na polu bitwy... To tylko nastrój — posmutniał znowu. — Jesienna egzaltacja. Niczym młody kleryk łakną rzezy nieosiągalnych. Marzę o wewnętrznej doskonałości, tęsknię do świętości...

„Dopiero na samym dnie upadku — napisał Mauritius w ostatnich słowach swej książki — *poznałem znaczenie dwóch słów, które dawniej wydawały mi się pustym dźwiękiem: „sumienie” i „odpowiedzialność”. I dlatego z głębi mej zagnojojonej prychnę przekazuję wam dobrą nowinę: człowiek nie tylko jest bydlęciem, człowiek jest także wielki i nieśmiertelny!*”...

I znowu zatęsknił do czegoś nieznanego, bodaj już w dzieciństwie przeżywanego, gdy razem z mamą i nieprzejrzanym

ttumem piął się na słoneczną górę w oparach śpiewu, muzyki i kaczek...

— Nie smuć się, synku — westchnął ojciec, i ręką zatoczywszy koło po krzyżach, topolach i obeliskach, powiedział:

— Oni już w innym, lepszym świecie!...

Zdanie-zgrzyt! Zabrzmiało tak fałszywie, że Arturek zajął mu w oczy:

— Wierzysz w to naprawdę?

— Ja? — ojciec wcisnął się w róg kamiennej ławki. — Czy ja wierzę? Oczywiście, trzeba wierzyć. Coś tam chyba jest jeszcze po śmierci. Przynajmniej powinno być. Wiara jest potrzebna każdemu człowiekowi, pomaga mu żyć i umierać...

— Dobrze już, dobrze — pogłodził ojca po ręce. Złapał go żal straszliwy, że siedzą tutaj razem, ojciec i syn, niby za dnia, ale w głębi najczarniejszej nocy, nadzy, zgubieni i zmarznięci, nie przykryci płaszczem wiary... I nagle poczuł się zewsząd otoczony padliną, słodkawy zapach zatyka mu gardło, to na pewno trupi jad spod ziemi, śmierć, rozpacz i noc dokoła!

— Chodźmy stąd czym prędzej! — powiedział. — Nie śmieję się ze mnie, ale ja się boję...

— Czego się boisz, dorosły mężczyzno? — zdziwił się ojciec.

— Nie wiem...

Czy ma mu powiedzieć, że od wielu miesięcy nosi w sobie przecucie nieszczęścia, jak kobieta nieżywe dziecko? Ach, cóż za wyszukane, literackie porównanie! Paps wybuchnąłby na nie głośnym śmiechem.

W drodze powrotnej zapytał ojca:

— Czyś ty czytał kiedy „Drut” Mauritiusa?

— Nie! — zaprzeczył Paps gwałtownie. — Z zasady nie czytuję ani „Drutów” ani „Krat” ani „Bunkrów” ani innych okropności. Czas o tym zapomnieć, nie wolno do tego wracać, trzeba wreszcie zacząć żyć normalnie — bez strachów i upiorów, bez nieustannego grzebania się w tych samych potwornościach! To do niczego nie prowadzi...

— A sumienie?...

— Ach, „sumienie!” — powiedział. — Bardzo piękne słowo!...

Chłopiec spuścił głowę.

Nadszedł dzień sądu.

Po powrocie z rozprawy do hotelu Arturek złapał się za głowę. Miał wrażenie, że mu nasadzono na kark trzaskający iskrami kondensator kulisty, podobny do tej bani, jaką profesor Radtke bawi się na lekcjach fizyki.

Ile nieznanomych twarzy! Ile starych i nowych słów! Strzępy zdań, ułamki gestów, odpryski dzwonka, dziesiątki migawek sfotografowanych oczami. Słowem: za wiele wrażeń, żeby można zasnąć.

Brat Herberta zabrał ich służbowym Mercedesem. Aby zobaczyć na własne oczy i usłyszeli na własne uszy.

— Naród nie może uciec od swojej przeszłości — powiedział sentencjonalnie, i od razu Arturkowi przyszło do głowy, że niektórzy ludzie (z profesorem Jacobim na czele) lubią wypowiadać wzniosłe myśli w jednym zdaniu. Gdyby brat Herberta był sławnym człowiekiem, jego powiedzenie wydrukowano by jutro w gazecie, a pojutrze obiegiłoby cały świat. Wielcy ludzie zawsze coś takiego mówią, a w Ameryce podobno bezrobotni myśliciele pisują im nawet za niedużą opłatą „ostatnie słowa” (do wypowiedzenia na łożu śmierci), coś w rodzaju: *Mehr Licht!*, chociaż ten właśnie okrzyk brzmi dzisiaj jak reklama żarówek elektrycznych. Brat Herberta nie jest jednak wielkim człowiekiem. Jest zaledwie bratem Herberta. Póki mama żyła, w całym mieszkaniu wisiły podobne mądrości, powyszywane na płótnie kolorowymi nitkami: *Morgenstund’ hat Gold im Mund...*

— Jeśli go nasza niepokalana, demokratyczna Temida nie pośle za kraty — dorzucił brat Huberta — stary Scharff wejdzie w skład nowej armii! Jako „żywy pomost” między starymi a młodymi laty...

Młodzieniec czuł że nie zmrzy oka. Za duszno w tym hotelowym kojcu, udającym (taka teraz moda) chłopską izbę. Wprawdzie Paps, większość czasu spędzający na rozjazdach, twierdzi że lepiej się śpi w wynajętym łóżku niż we własnych piernatach, ale to przesada. W gospodzie „Zum Hecht” nie można przytknąć dłoni do stylowych kafli, taki żar bije z pieca. Połowa października, a już pała. Co się stało z królową cnót starogermańskich, z oszczędnością?

— Dziwisz się, Turciu? — odezwał się Herbert, który przed snem niczym lekarstwo wlewał w siebie co wieczorną porcję morderstw, katastrof, plotek o Sorayi, zawartą w zeszytce ilustrowanego magazynu. — Dusimy się od nadmiaru węgla. Piętnaście milionów ton „gnije” na hałdzie. I od przybytku nie raz głowa boli.

— Węgiel nie może „gnić”...

— Tępyś! — huknął ze swego tapczana Herbert. — Nie znasz się na poetyckich przenośniach!

Oczywiście! On, prymus, redaktor szkolnej gazetki, chluba gimnazjum im. Goethego, zna się na wszystkim! *Ein Tausendkünstler!* Już zdążył sobie wzrok zepsuć od pożerania ilustrowanych magazynów. Wytrzeszcza teraz małe ślepka przez grube szkła okularów, podobny do ryby w akwarium. A odkąd mu zasuszonego mumia, głowa gimnazjum, Oberstudiendirektor Malz skonfiskował w gazetce artykułik wyszydający umieszczenie kwadrygi na Bramie Brandenburskiej, chodzi w aureoli lokalnej sławy. Podobno Oberstudiendirektora najbardziej zabolę cytował z Kästnera: *Kennst du das Land, wo die Kasernen blühen?* — „Nikt koszar nie lubi — wypowiedział przy tym światłą uwagę — ale mimo to żartować z nich nie należy!...”

Arturek, któremu się przez moment wydawało, że widzi

na suficie kolorową spódniczkę-spadochron Gizeli, a było to zwykłe odbicie abażuru, odwalił grobowy głaz pierzyny — nic. Rozchylił drewnianą okiennicę z wyciętym serduszkami — też nie pomogło. Nie, nie zaśnie. Stanowczo za wiele emocji jak na jeden dzień. Po raz pierwszy w życiu był w sądzie...

— Przyjrzyjcie się widowisku ostrym okiem — powiedziała im Brandt na drogę — okiem mściwego Honoré Daumiera, przyczajonego ze szkicownikiem w kącie *Palais de Justice*...

A więc przyjechał do tej zacisznej bawarskiej pół wioski, pół mieściny z Herbertem, którego starszy brat przysłuchiwał się procesowi służbowo, z ramienia nowej armii. Jest w niej majorem. Mówią, że mu kancelaria adwokacka nie dawała „pełni życia”, więc wskoczył do wojska jak spocony letnik do wody. I chociaż te nowe mundury, a zwłaszcza czapki, według opinii Papsa, bardziej przypominają liberię służby hotelowej niż prawdziwe wojsko („trzeba ci było widzieć nasze dawne, ho-ho!”), bracišek Herberta prezentuje się nie najgorzej. Z początku Arturek nie miał ochoty na wycieczkę do Teisendorfu: zniechęcały go długie godziny monotonnej jazdy na tyle razy oglądanej autostradzie, pamiętał o liście Gizeli, a poza tym Paps zaczął się krzywić na pomysł wyjazdu:

— Po co masz sobie umysł zaśmiecać sensacjami? — ściągnął zmarszczki w wachlarzyk. — Niepotrzebne wywoływanie duchów. Ale to nie wasza wina, chłopcy! Pedagogów macie niefortunnnych, to oni wam zachwalają ten nowy typ „przygody duchowej”. Jakieś pielgrzymki do Belsen, kluby Anny Frank, nowelki pastora Goetza, zbiorowe oglądanie filmu z procesu w Norymberdze. Dziwne metody wychowawcze: prowadzić szczeniaków na podobny, że się tak wyrażę, „seans spirytystyczny!” Czy nie za wiele polityki? („Kto się nie chce zająć polityką, tym polityka już się zajmie: butem mu gardło przydepnie!” — powiedział kiedyś Brandt). Zostałbyś lepiej w domu lub poszedł z kolegami do kina na nową komedię z Fernandem!

I wreszcie ostatni argument, najcelniejszy:

— Przecież to ojciec tej małej Gizeli...

Ach, już by nie pojechał na tę „Scharffiadę”, ale trzeba znać upór Herberta.

— Powiedz wielce szanownemu ojcu — huczał w telefonie z oburzeniem w którym ujawniał się cały despotyzm jego przyjaźni — że Fernand, to płocha rozrywka. Tak mu powiedz! A *Herr General*, to poważna sprawa. Wypowiedz choć raz w życiu posłuszeństwo swemu zacnemu staruszkowi. Nie rozpieszczaj go, papinsynku, uległością! Polityka ustępstw, jak uczy historia, prowadzi do katastrof. *Deutschland, erwache!* Stań, kucyku, dęba!

Więc „stanął dęba”.

— „Wywoływanie duchów” — powiedział ojcu ze sztuczną stanowczością — bardzo mnie interesuje. Jadę! Jadę! i basta!

— Szczęśliwej podróży, Arturze Kolumbie! — posłyszał w odpowiedzi. — Nie jesteś już dzieckiem. Każdy musi odkryć świat na własną rękę...

Głos ojca brzmiał obco, niesympatycznie. I wtedy padło jeszcze jedno zdanie niegodne Papsa:

— Szczurołap Brandt posuwa się za daleko. Czas go przykrócić... To duchowy cudzoziemiec!

— Nie zamienię stu Jacobich na jednego Brandta! — odparł urażony. — Jest lepszym Niemcem od nas wszystkich! Mam na to dowody!

— Ach, ty głuptasku! — posłyszał pół śmiech, pół kaszel, i na czas wydobył czuprynę spod ojcowskiej ręki. Niech go już nie głaszcza!

Po raz pierwszy w życiu nie posłuchał Papsa. Na złość. Na złość! W pewnym sensie „ze względów wychowawczych”. Wiecznie szydzący Herbert tym razem ma rację. Nie należy rozpuszczać rodziców zbyt gorliwym spełnianiem ich zachcianek. Nic tak nie demoralizuje starszego pokolenia jak ślepe posłuszeństwo. Zresztą, na korytarzu szkolnym wisi świetny napis: *Sage niemals Jawohl!* Profesor Brandt, najmądrzejszy ze wszystkich belfrów w menażerii (żaden „szczurołap!”) też powiada na lekcjach historii: „My, Niemcy, musimy się wreszcie nauczyć nieposłuszeństwa!”...

Ach, właściwie sam już nie wie dlaczego pojechał z Herbertem i jego bratem. Może z nudów? Życie jest przecież coraz nudniejsze, a już nie ma nic nudniejszego nad rozrywki i sensacje. Któż to tylko powiedział? Pewnie jakiś ascetyczny klecha? Pastor Pfirsich? A może ten dostojny szympan, Jacobi?

— *Alles Scheisse!*

To Herbert, ozór niewyparzony. Herbert ze szczególnym zamiłowaniem posługuje się rubasznymi powiedzeniami. Daje mu to poczucie męskiej dojrzałości — marzenie jeszcze nie spełnione, skoro w dziewiętnastej wiosnie życia ma zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, a spod groźnie skołtunionego czuba spogląda na świat twarzyczka rozkapryszonego brzdąca; nawet okulary nie przydają mu upragnionej dorosłości. Odłożył na chwilę opis nowej katastrofy lotniczej nad Pacyfikiem i wydał wargi:

— Hałastrą w togach! Karawaniarze!

— Kto taki?

— No, ten sąd ostateczny! Ale Scharff nie dał się pierdzi-stółkom zjeść z kopytami. Wypiął się na nudziarzy. Bravissimo! Twarda sztuka, nie ma co! Guliwer i karty. *Der tolle Scharff*, postrach Trzeciej Armii, i kupa stetryczających mięczaków. Próchno. Dmuchnij na nich, a się rozsypią!

— Hej, hej — zdziwił się Arturek. — Od kiedy, drogi Berciu, uwielbiasz siłę? Sam mi niedawno tłumaczyłeś, że pogarda dla ludzi nieśmiały, niedołąnych, ułomnych, tak typowa dla naszego społeczeństwa, świadczy o przyczajonym w każdym z nas małpoludzie z maczugą nabijaną gwoździem...

— Bo ja różne rzeczy mówię — roześmiał się młodzieniec pogardliwie. — I ty kiedyś dojdiesz do tego. „Wyższy stopień wtajemniczenia”, *verstanden*? Człowiek myślący ma prawo raz mówić tak, a raz — siak, w zależności od swego widzi-mienia. Tym bardziej że każdy pogląd jest jednakowo dobry lub niedobry, a każdą tezę da się udowodnić. Weźmy na przykład...

Arturek przykrył uszy poduszką. Paps niejednokrotnie ostrzegał go przed młodym cynikiem: „Dałbyś sobie wreszcie spokój z tym antypatycznym, przemądrzałym Herbertem. On wywiera fatalny wpływ na ciebie! Dlaczego się nie zaprzyjaźnisz z von Wickenbergiem?”

Rzeczywiście — przypomniał sobie Arturek — generał Scharff, postrach Trzeciej Armii z lat wojny, nie dał się zjeść z kopytami, nawet na sekundę nie przestawał być generałem, górował nad innymi wzrostem, postawą, dźwięcznością głosu. Gdy wszedł na salę...

Co tam „wszedł!” On wmaszerował jak do zdobytego miasta. Pierś na przód, brzuch wciągnięty. I z miejsca rozejrzał się po ławie przysięgłych jak po swoich zbuntowanych podkomendnych. Na sali zrobiło się tak cicho iż słyszał było rżenie podeszew u nowych butów generała. Skłonił się przewodniczącemu i prokuratorowi krótkim przyłożeniem starannie wygolonej brody do białego krawata. Obrońcy dłoń uściśnął, oczami weń strzelił: „Liczę na pana!” Zanim usiadł na podsunętym przez woźnego fotelu i nieznacznym ruchem podciągnął zaprasowane spodnie na kolanach, z nieukrywaną niechęcią spojrzął na setki publiczności. Zmarszczył się na widok dziennikarzy i fotografów. Energicznym wyrzutem dłoni przekreślił powietrze przed sobą. Nie, nie chce i nie pozwala, by go fotografowano. Protestuje również przeciwko umieszczeniu mikrofonu przy jego fotelu.

Arturek jeszcze w hotelowym łóżku, w kilka godzin po rozprawie, słyszał jego ostre, świszczące słowa, przypominające cięcia szpicrutą:

— *Meine Herren!* Jestem żołnierzem. W mojej rodzinie od sześciu pokoleń wszyscy synowie służą ojczyźnie z bronią w ręku. W moich żyłach płynie żołnierska krew. Od siedemnastego roku życia wierny jestem przysiędze i głosowi sumienia. Nie wstydzę się zawodu, który jest powołaniem, wymaga ofiar, poświęceń i odwagi...

W tym momencie generał obciągnął na sobie granatową marynarkę i pyszną, siwym puchem przyozdobioną głowę uniósł w stronę niewidzącego już na ścianie portretu. Na sali ucichło. Ponad głowami przeszedł ziąb przeszłości. Jakby ktoś nagle uchylił drzwi od grobowej krypty...

— Powinni staremu lampartowi dać spokój! — zawołał Herbert z sąsiedniego tapczana. — Każdy naród potrzebuje ludożerców!

Kłopot z Herbertem stale ten sam: nigdy nie wiadomo kiedy mówi poważnie, a kiedy stroi żarty. Także i teraz rozchichotał się na całą izbę:

— Co za mydłki, jakie szlafmyce! Organizacja byłych żołnierzy przysłała półmetrowy telegram. Protestują przeciw znęcaniu się nad Scharffem. Nie powinni protestować na papierze. Protest jest bronią słabeuszów. Powinni go, *Donnerwetter*, odbić siłą, porwać jak Skorzeny Mussoliniego albo wieźć awionetką do Egiptu i tam przemałować na Araba. Więcej polotu, panowie z brzuskami! Ach, jesteśmy narodem ze sztucznymi zębami! Już się nie odżywiamy surowym mięsem! Zjadamy ananasy z puszek! Sąd, oczywiście, telegramu nie odczytał, ale tekst mdły jak rycyna wydrukowali w gazecie...

Zaczął czytać przesadnie uroczystym głosem, naśladowując Jacobiego. W przedrzeźnianiu zawsze był mistrzem:

— „Niemcy prześladują Niemców. Bezsensowny odwet sądowy na generale Scharffie w trzynaście lat po wojnie, w dwa lata po jego powrocie z syberyjskiej katorgi musi budzić niesmak w każdym cywilizowanym społeczeństwie. Znowu godzi się w dobre imię tych, którzy, nie szczędząc...”

Arturek przypomniał sobie że o zasługach wojennych ojca Gizeli mówiono na procesie długo i z nabożeństwem. Sam oskarżony zachował powściągliwość, godną uznania. Zeznawał krótkimi zdaniem, jakby nie chciał by go posądzono o chęć autoreklamy. Skromność zawsze cechowała prawdziwych bohaterów. Nie jest żołnierzem-samochwałem. Spełnił swój obowiązek. Nie na tyłach, ale na froncie, zawsze w pierwszej linii. To wszystko. Ale jeśli was to naprawdę interesuje, proszę bardzo: znalazłoby się coś niecoś w wojennym dorobku.

— Oto kilka z moich ważniejszych odznaczeń — mówił od niechcenia. — Za przerwanie linii Maginota: *Ritterkreuz*. Za Kaukaz: wawrzyn dębowy. Za drugą bitwę o Charków: brylanty i miecze...

— A rany, panie generale? — podsunął usłudźnie obrońca.

— Szesnaście razy, z czego pięć poważnie.

W tym momencie obrońca, owinięty w togę jak w szlafrok, podniósł się zgrabnie z rzeźbionej ławki i wręczył przewodniczącemu książeczkę wojskową generała z prośbą o dołączenie jej do akt sprawy. Przewodniczący miał twarz nijaką, trudną do spamiętania. Arturkowi utkwiły w pamięci trzy podbródki z których ostatni spoczywał na stercie papierów.

— Książeczka ocalała cudem... — przymilał się obrońca do przysięgłych, garstki ludzi przerażonych, siedzących na ławie ze spuszczoneymi oczami, bardziej podobnych do oskarżonych niż do sędziów. — Generał Scharff przez całą wojnę nosił ją na piersiach wraz z fotografią żony i małych dzieci. O, tutaj, widoczny jest nawet ślad kuli na tekturce...

Zachwalał oskarżonego umiejętnie, lepiej niż domokrażca swój towar. I co także ważne: mówił tym samym dialektem, co sędziowie, po bawarsku.

Oczy przysięgłych jak na komendę spoczęły na śladzie kuli. Jakaś paniusia w niemodnym kapeluszu z ciężkim westchnieniem skinęła głową. Rzeczywiście, zgadza się: na tekturce z czarnym orłem widnieje ślad kuli.

Gdy mówił o wielkiej odwadze generała, brat Huberta syknął:

— Najnowsze badania wykazują, że odwaga jest funkcją ciśnienia krwi. Większość chorych na serce z góry skazana jest na tchórzostwo.

Gdy jął się rozwodzić nad zaletami umysłu generała, brat Huberta szepnął:

— Nieżył krętacz. Przez bity kwadrans zachwyca się inteligencją swego klienta. Gdy to nie „chwyci”, ma w zapasie inną sztuczkę: paragraf 51, artykuł drugi!

— Cóż to takiego? — zdziwili się młodzieńcy.

— Zmniejszona poczytalność oskarżonego. Postrzał w głowę pod Smoleńskiem.

Książeczka wojskowa wędrowała z rąk do rąk. Dorośli, posadzeni w ławce, cieszyli się nią jak dziecko zabawką. Niektórzy mężczyźni też mieli kiedyś taką książeczkę. Spoglądali więc na nią z uśmiechem zadumy. Nie było w tym uśmiechu tęsknoty do wojny i koszar, ale zwykłe ludzkie wspomnienie młodości. Adwokat był nieduży, rumiany, pulchny od piwa i białych kielbasek, bardzo serdecznie uśmiechnięty, a mówił tonem tak łagodnym jakby spór toczył się o kradzież kilograma jabłek.

Szło jednak o więcej. I znowu brat Herberta, ten major w mundurze podobnym do hotelowej liberii, wyjaśnił chłopcom że sprawa ciągnie się od wielu miesięcy, od Annasza do Kajfasza, ale teraz na polecenie najwyższej instancji wraca na miejsce zbrodni, a więc do tego miasteczka w którym generał Scharff...

O słowo „zbrodnia” omal nie doszło w samochodzie do kłótni między braćmi.

— „Miejscem zbrodni”? — zdziwił się Herbert.

— Zbrodni! — powtórzył major.

— Nie ulegajmy gazetom. Wiemy co za jedni w nich pisują. Generał spełnił swój żołnierski obowiązek...

— Generał dopuścił się przestępstwa!

— Ależ wtedy była wojna. Gdzie rąbią, tam drwa lecą. O jednego człowieka mniej, o jednego więcej, gdy całe miasta rozsypywały się w gruzy...

— Mylisz się. O jednego człowieka idzie zawsze. A gdybyś ty był tym „jednym człowiekiem”? Co wtedy?

— *Ganz einfach!* — zaperzył się Herbert. — Generał Scharff kazałby mnie dla przykładu rozstrzelać. Jak tamtego kmiotka tchórzem podszytego, ale zapewniam cię, że ja bym...

— Łatwo ci teraz mówić. Znasz tamte czasy z kina i opowiadań różnych herosów przy piwie, ale ja to wszystko prze-

żyłem. Gdybyś wiedział, ile różnych komórek zajmuje się u nas odgrzewaniem legend wojennych!

— Właściwie powinienś być zostać księdzem, braciszku — roześmiał się Herbert kąśliwie — a nie fachowcem od zabijania.

— Nikogo nie zabijam.

— Ale zabijesz. Prędzej lub później. Kto się uczy tańczyć, ten któregoś wieczora wybierze się na tańcówkę...

— O co ci, Berciu, chodzi? — zirytował się major. — Bronisz starego zabijaki, typowego przedstawiciela tamtych czasów, a napadasz na pokój miłującego oficera nowego wojska.

— „Pokój miłujący oficer!” — zachichotał młokos. — Czy to nie sprzeczność sama w sobie?

— Litości! Moralista się znalazł, jeszcze jeden! Jak by ich kiedy za mało było w naszym kraju! Od pokoleń grasują tysiącami, i pewnie dlatego brak nam moralności. Lubię pracę na świeżym powietrzu, przy biurku tyję, to wszystko.

— Nie tłumacz się — przymrużył Herbert oko za wypukłością szkła. — I ja się ćwiczę w sztuce życia świadomego: co innego mówię, co innego myślę. Chcesz? Zaraz ci odwrócę kota ogonem, i to com z takim przekonaniem wypowiedział, legnie pod ciosem innego „punktu widzenia”, *unsere Firma kann alles!*

Major pociągnął go żartobliwie za odstające, czerwone ucho i tak się skończyła braterska wymiana czułości, lecz zgorzony Arturek pomyślał z niesmakiem: — Niepoważny szczeniak, powinienem go skreślić z listy przyjaciół!

O tego jednego „kmiotka tchórzem podszytego” upominał się na sali oskarżyciel w binoklach, urzędnik któremu natura poskapiła daru wymowy, co szczególnie raziło przy jego stanowisku. Zasuszony, zmęczony życiem, bliski emerytury i ataku astmy, mówił monotonię, patrząc w okno za którym już parskły motory nowej armii. Arturek podejrzewał go, że w czasie przemówienia myśli o czym innym. Może o koszulach oddanych do pralni? O niezapłaconym rachunku za telefon? O wczorajszej kolacji? O potrzebie kupna ciepłych kalesonów na zimę? Przecież to już jesień! O nadchodzących wyborach do Landtagu? O amerykańskiej rakiecie na księżyc? *Ignoramus et ignorabimus...*

— Ależ tak trzeba, głuptasiński — szepnął mu do ucha Herbert, jak zawsze przemądrzały — nie bądź śmiesznym, sentymentalnym idealistą. Prokurator nie powinien się angażować emocjonalnie, nie powinien się popisywać swoim „oburzeniem moralnym”, i tak wszystkim wiadomo, że łamanie paragrafów nie sprawia mu najmniejszej przykrości; przeciwnie — potwierdza celowość istnienia jego urzędu; on z tego, bracie, żyje! To jest, człowiecze, zawód jak każdy inny. Po dziękujmy Bogu, że jest maszyną do oskarżania, a nie czuje się natchnionym naprawiaczem świata, to dopiero byłoby nie

do zniesienia. Nie wymagajmy od grabarzy, żeby płakali przy każdym pogrzebie...

Gdy zamyślony astmatyk w birecie skończył stękać, włożył do ust cukierek eukaliptusowy i przetarł binokle zamszowaną szmatką. Ciekawe, co ten flegmatyczny dziadzio robił w czasie wojny? Kogo oskarżał monotonnym głosem, patrząc w okno za którym parskały motory tamtej, starej armii? On zapewne też tylko zawsze „spełniał swój obowiązek”.

— Panie Boże — westchnął chłopiec — spraw, abym nigdy w życiu nie był niewolnikiem obowiązku, żebym mógł robić to co naprawdę chcę, a nie to co muszę... O ile to w ogóle możliwe — dodał z rezygnacją, przypominając sobie na czas że są pewne modlitwy, które się nigdy nie spełniają.

Najgoręcej przy swoim upierał się brat rozstrzelanego, stary młynarz, koronny świadek oskarżenia, którego zeznania częściowo rozproszył urok cudem z pożogi ocalonej książeczki wojskowej. W kapocie po kolana, wsparty na lasce, z lewą ręką na nerkach, groźnie srożąc krzaczaste brwi domagał się sprawiedliwości. Właściwie wyręczał sąd i prokuratora. Twarzą najchętniej odwracał się do publiczności. Arturkowi wydawało się, że patrzy na niego i na Herberta.

— Mój brat leży u wjazdu do miasteczka, niedaleko szosy. Tam gdzie go ten człowiek bez sumienia — wskazał palcem na oskarżonego — kazał rozstrzelać bez prawa i bez sądu. Czy jadąc na rozprawę, zatrzymał pan generał swój samochód przed jego grobem? Nic mi o tym nie wiadomo. Trzeba było złożyć wieniec, pomodlić się za duszę swej ofiary, paść na kolana i zapłakać przed krzyżem niewinnego...

— Protestuję! — krzyknęli razem generał i jego obrońca.

— Niesmaczne! — syknął ktoś w kącie. — Demagogia!

Przewodniczący uniósł trzeci podbródek znad papierów.

— Proszę odpowiadać tylko na zadane pytania, bez niepotrzebnych komentarzy — upomniął młynarza. — Ocena wypadków, które się wtedy rozegrały, jak i całokształtu sprawy należy do sądu, a nie do świadków. Nikt z nas nie jest upoważniony do wydawania wyroku przed zakończeniem rozprawy. Upominam świadka!

— Co tam sąd! — zirytował się stary Bawar. — Już go tam Pan Bóg osądzi! On jeden generałów się nie boi! Bo wy mu, panowie, krzywdy nie zrobicie!

— Bezczelność! — zawołał przewodniczący.

— Sam już nie wiem, kto tu dzisiaj siedzi na ławie oskarżonych — stukał laską w podłogę młynarz. — Czy mój świętej pamięci brat za tchórzostwo? Czy ja za obrazę wysokiego sądu? Czy pan generał Scharff za morderstwo?

Po tym wybuchu nagromadzonej w sercu świadka goryczy wiele było zgiełku, podnoszenia głosu, wstawania i siadania, potrząsania dzwonkiem, grożenia palcem, ale w końcu pozwolono staremu mówić dalej. Zaimponował im swoją odwagą.

— Mój brat Anton był burmistrzem. Ja zaś na przedmieściu dzierżawiłem młyn, bardzo kiepski, stary, zadłużony młyn. Mąkę musieliśmy wtedy oddawać co do kilograma...

— Mąka nie jest ważna — przerwano mu w połowie zdania.

Spod krzaczastych brwi łysnęło przekrwione białko.

— Dla młynarza bardzo ważna! Ale — jak chcecie... Wzięto o piątej rano — było to trzeciego maja 45 roku — wpadli na rynek na motocyklach i dalej krzycząc: „Kto tu jest burmistrzem?” Wtedy mój brat Anton wyszedł przed dom i powiedział im: „Ja jestem burmistrzem!” — „Jazda do generała!” Wsadzili Antona do przyczepki i podwieźli kilkaset metrów, może i kilometr, w stronę autostrady. Ja też tam pojechałem — w drugiej przyczepce. Z gospody „Na rozdrożu” wyskoczył generał w rozpiętym palcie z czarnej skóry, zły i nieogolony, w zabłoconych butach, ale order z brylantem dyndał mu u szyi. Rozwścieczony...

— Brylanty do krzyży rycerskich były żydowskie — szepnął ktoś z tyłu — pochodziły z kradzieży. Zabierano je uwięzionym Żydom holenderskim...

— ...złapał mojego brata za połą marynarki, zaczął nim trząść z całej siły i kłać: „*Ihr feigen Hunde! Ihr Verräter!*” Gdzie są barykady? Gdzie jest wasz *Volkssturm*? Gdzie są rowy przeciw czołgom? Dlaczego się nie bronicie? „Wtedy mój brat odpowiedział spokojnie, że jeśli cała uzbrojona dywizja cofa się przed Amerykanami, to garstka bezbronnych cywilów na pewno ich nie zatrzyma, a poza tym w miasteczku nie ma mężczyzn zdolnych do noszenia broni, są tylko kobiety, dzieci i kilkunastu starców...”

— Chwileczkę. A ile to świadek miał wtedy lat? Czy też był niezdolny do noszenia broni? — wystrzelił obrońca.

Na próżno przewodniczący odpędzał pytanie ręką.

— Sześćdziesiąt trzy — odpowiedział spokojnie młynarz. — Łatwo sprawdzić. Stoi w aktach.

— A do *Volkssturmu* należał?

— W rzeczy samej — zaczął mamrotać wyrwany z zadumy prokurator — pytania obrońcy, nie służąc odtworzeniu stanu faktycznego, zmierzają do dyskryminacji świadka i jako takie...

— Dobrze już, dobrze... — wycofał się grzecznie obrońca, rzucając wymowne spojrzenie w stronę przysięgłych.

— Pytań obrony nie dopuszczam. Idźmy dalej! — przewodniczący znowu złożył podbródek na stercie papieru. — Co się wydarzyło w czasie tej sprzeczki przed gospodą?

— „Sprzeczki”! — zawołał brat zabitego. — Ładna mi to była sprzeczka, niech nas Pan Bóg ma w opiece! Ledwie Anton wspomniawszy generałowi, że w sąsiedniej wiosce są aż dwa lazarety, wypełnione rannymi po suficie, że ranni leżą nawet po prywatnych domach, i dlatego czas najwyższy wywiesić na ratuszu chorągiew Czerwonego Krzyża...

Zaszeleściły papiery w pośpiechu zgarniane ze stołów. Gorączkowe odsuwanie krzeseł i zatraskiwanie zamków u skórzanych teczek. Oskarżyciel schował torebkę z cukierkami do szuflady (widocznie ataki kaszlu łapia go tylko w czasie rozprawy). Zgrabnie, jednym ruchem ciała wydobywano się z sądowych szat liturgicznych. Stary woźny uchodził z karafką wody. Publiczność także opuszczała widowisko różnym krokiem. Dlaczego wszyscy się tak śpieszą? Czyżby zgłodnieli w ciągu tych kilku godzin? A może pędzą na pociąg?

— Muszą jeszcze coś nie coś przetrząść przed pójściem do kina — wyjaśnił brat Herberta. — Za godzinę miasteczko wybiera się na premierę filmu wojennego o bohaterskim komendancie łodzi podwodnej: „U 47 — Kapitänleutnant Prien”...

— *Das ist ja allerhand, Herr Major!* — wtrącił się do rozmowy jakiś wymierzowany człowieczek w bluzie i w cyklistówce. — Gdyby mi ktoś dwanaście lat temu, gdy wychodziłem z lazaretu, powiedział że w kraju który stracił przeszło sześć milionów poległych i ma dwa miliony inwalidów, będą kiedyś stały ogonki przed filmami o wojnie, nazwałbym takiego proka szaleńcem! Tu coś się nie zgadza!

Pokręcił głową i zniknął w tłumie.

— Głos ludu, głos Boga! — przypieczętował Herbert. — Ten człowiek ma rację, przechodnie na ulicy zawsze mają rację, tylko nikt się z nimi nie liczy. Jeszcze raz *danse macabre* od początku! Trudno o lepszą pointę do sprawy Ritterkreuzträgers Scharffa. Nie chcę nic złego powiedzieć na Priena. Podobno był to nawet wilk morski bez skazy i zmazy, a poza tym zabijanie ludzi na morzu i w powietrzu, takeśmy się już umówili, jest, *Krucifix*, „romantyczniejsze” od zarzynania na lądzie...

— Żaloszny kameleonie — pogadził go starszy brat po policzku. — Z kolei udajesz pacyfistę! O, ty mój biedny, nad wiek rozwinięty braciszku! Zająłbyś się lepiej czymś praktycznym: fizyką, motorami spalinowymi czy architekturą. Pomrukiwaniem w kącie do niczego w życiu nie dojdiesz! Najwyżej skończysz jako dziennikarzyna w prowincjonalnej gazecie!...

Wrócili do hotelu w milczeniu. Tylko Herbert pojękiwał od czasu do czasu:

— Żebyś wiedział: czuję się starym, spróchniałym dziadogą, pradiadkiem naszego Brandta. Zazdroszczę twojemu pokoleniu radości, czystego sumienia, dobrego apetytu i zdrowego snu!

— Jak myślisz, Berciu? — zapytał Arturek przyjaciela przed zaśnięciem. — Skażą generała czy go zwolnią?

— Bo ja wiem? Procesy tego typu są zawsze wielką niewiadomą w naszym *Rechtsstaat*. Wiele zależy od rzeczoznawców, a tej dostojnej ferajny nigdy u nas nie brak. Jutro zeznają biegli z Instytutu Najnowszej Historii, pojutrze znawcy jurysdykcji wojennej. Jeśli orzekną, że generała obowiązywał tajny rozkaz Himmlera czy instrukcja Sztabu Generalnego, łamana przez cyfrę taką i taką... Grunt, żeby był jakiś paperek z pie-

czętką. Obronca Scharffa przedstawił już ekspertyzę jednego z byłych marszałków...

— A co orzekł ten marszałek?

— Kruk krukowi... Przysłał tylko jedno zdanie: *In Ordnung gegangen!* Wszystko O.K.! Mój stary od czasu do czasu też mi wystawia takie świstki: „Syn mój nie mógł przyjść do szkoły z powodu bólu zębów”...

Zegar na kościółku wybił drugą w nocy. Czas gasić światło i zapomnieć o wszystkim.

— A ty po czyjej stronie jesteś, Berciu? Po stronie generała czy tego młynarza?

Długa cisza.

— Gdybym wierzył w sprawiedliwość — wysilił się Herbert — może łamałbym sobie nad tym głowę, ale ja nie wierzę. Widocznie nie jestem jeszcze dość zepsuty i zakłamaný, ale i na to przyjdzie kiedyś czas. A po czyjej stronie jesteś ty, młody idealisto? — zajął mu w oczy. — Przyznaj się, nie wstydz się... Tyś przecie zawsze taki szlachetny...

— Nie wiem — zaczerwienił się Arturek.

Miał ochotę powiedzieć, że nienawidzi nadętego mordercy w generalskim mundurze z całej duszy, ale zabrakło mu odwagi. Przecież to ojciec Gizeli!

— Nic już nie wiem — powtórzył. — Boli mnie głowa, odchoduję to wszystko. Dobra noc, kopalnio mądrości!

— Dobra noc, niepokalana dziewczeczko...

Arturek szybko wcisnął głowę w pękatą, chłopską poduchę, by nie słyszeć szyderczego chichotu Herberta.

Stary młynarz miał rację. Generał Scharff nie poszedł do więzienia. Sąd go wprowadził nie uniewinnił, ale okazało się że sprawa jest już przedawniona.

Na przyjęcie, które odbyło się w niespełna tydzień później w willi państwa Scharffów z okazji zwolnienia generała, Arturek nie poszedł. Wymówił się chorobą.

Gizela dzwoniła dwa razy.

— Takie święto — mówiła pół przytomna z radości — będzie u nas przeszło sto osób na *party*, a dla młodzieży zamówiliśmy z papą zespół jazzowy *Mississippi Boys*. Specjalnie przyjeżdżają z Düsseldorfu. Musiałeś ich kiedy słyszeć przez radio. Mam nową sukienkę, błękitny „trapez” z Zurychu! Zaniemówisz, Turciu, z zachwyty! Musisz przyjść, słyszysz m u s i s z ! To nasze święto!

Cóż za brak smaku! — pomyślał. — Stary grzesznik powinien wrócić do domu na palcach, tylną furtką, pod osłoną ciemności. *Mississippi Boys* mają mu zagrać na powitanie! Nie! Nie pójdę na tę szopkę! Nie pójdę, choć by...

— Jestem chory — jęknął w słuchawkę.

— Ale jeszcze dzisiaj w południe byłeś zdrow. Mama cię widziała w mieście!

— Zachorowałem po południu.

— Tak nagle?

— Tak nagle...

Długa cisza w słuchawce.

— Szkoda — powiedziała zawiedzionym głosem — ale gdybyś równie nagle i niespodziewanie ozdrowiał, czekamy...

Za pół godziny nowy telefon.

— Ty coś przede mną ukrywasz. Wróciłeś z Teisendorfu zmieniony nie do poznania. Dawniej taki nie byłeś. Po coś tam w ogóle jeździł?

— Sam nie wiem — westchnął.

Głos jej zaszedł łzami.

— A może ty byś wolał, żeby mój papa poszedł do więzienia?

— Gizelo...

— A może Herr Brandt zakazał ci przyjść do nas? Wstrętny komunista! Buntuje młodzież!

— Brandt nie jest komunistą!

— Papa mówi, że jest! Von Wickenberg też go uważa za szkodnika.

— Von Wickenberg jest osłem!

— Zawiodłam się na tobie...

— Gizelo...

— Nie wierzę w twoją chorobę!

— Jestem chory! — powtórzył.

Tchórz! Tchórz! — biło mu serce. — Dlaczego jej nie wykrzyczysz całej prawdy w słuchawkę? Powiedz jej: nie idę, bo mi sumienie nie pozwala, bo się we mnie wszystko buntuje przeciwko triumfalnemu powrotowi „męczennika”, bo jestem po stronie zabitego Antona, starego młynarza w kapocie, Brandta leżącego w glinie ze złamanym nosem i tych trzech młodzieńców z Hamburga, którzy mieli odwagę powiedzieć „nie!”...

— Posłuchaj... — zaczął z wysiłkiem — ja ci to wszystko jutro wytłumaczę, miej do mnie choć trochę zaufania...

— Ach, „jutro”! — wykrzyknęła zdławionym głosem.

— Posłuchaj...

Odłożyła słuchawkę.

Pomóż mi! — chciał krzyknąć z rozpacz — Zrozum mnie, wczuj się w moje położenie! Przecież to wszystko nie ma nic wspólnego z tobą i naszym uczuciem, to sprawa między mną a twoim ojcem...

Paps także zrobił obrażoną minę.

— A cóż to za demonstracja? Do Gizeli nie idziesz? W takim dniu! Myślałem, że pójdziemy razem...

— Złe się czuję, głowa mi pęka.

— Pokłóciliście się? Przyznaj się, Turciu? Jak to tylko powiada Heine o dwojgu zakochanych głuptasów? *Sie sahen sich an so feindlich und wollten vor Liebe vergehen...*

— Przebiegłem się w Teisendorfie!

— Swoją drogą — mówił Paps, zawiązując muszkę przed lustrem — Madame Scharff zawiodła na całej linii. Zostawił męża w nieszczęściu samego i wyjechał z córką za granicę! Nasza mama nigdy by tego nie zrobiła. Gdybym tak ja stanął przed sądem...

— A dlaczego miałbyś stanąć przed sądem? — zdziwił się Arturek. — Przecież tyś nie kazał zabijać niewinnych...

Paps szarpnął za muszkę, aż spinka trysnęła na środek dywanu.

— Ja przed sądem? — roześmiał się. — Ja tylko tak mówię, dla przykładu... *Herrgott*, już dziewiąta!

Pocałował syna w czoło i zbiegł do samochodu.

— Baw się dobrze! — zawołał za nim Arturek. — Będziesz mógł sobie potańczyć przy dźwiękach orkiestry *Mississippi Boys*! Z żalu wbił twarz w poduszkę.

Skulony w ojcowskim fotelu, nie otwierając oczu, przeżywał męki zranionej wyobraźni. Widział Gizelę w tańcu z tym lalusiem von Wickenbergiem. Cóż za wspaniałe tło dla „błękitnego trapezu z Zurychu”! — dręczył się coraz bardziej. — Na pewno hrabicz zjawił się w smokingu. Olśniewa całe towarzystwo, zwłaszcza starsze panie, wytwornością manier, śnieżną bielą równiutkich, zawsze wyszczerzonych ząbków i nie-nagannym przedziałkiem nad czołkiem kretyna. „Mister Bochum”, żywa reklama pasty do zębów i olejku na włosy! Dziełki sylwetce fordanera i idealnej precyzności umysłu na pewno robi z czasem karierę w dyplomacji. Takich z „von” przyjmują tam z pocałowaniem ręki... Ach, to jeszcze nie wszystko! Mój Paps ściska teraz generałowi rękę, tę samą muskularną, owłosioną łapę która... A towarzysze broni z Trzeciej Armii, przebrani w cywila, stanęli kołem. Pewnie i okrągły prałacik przydreptał z błogosławieństwem! („*Ach, ci wasi teologowie!* — przypomniał sobie okrzyk z książki Bernanosa — *to oni z uśmiechniętą miną pozwalają wam zabijać, wszystko jedno gdzie i jak, zabijać na rozkaz, jak zawodowym katom!*”) Chwała Generałowi! Kogo tam dzisiaj nie ma! Ani chybi pofatygował się na szklaneczkę soku z pomarańczy (alkoholu z zasady nie pije) sam właściciel naszego cyrku, mumia egipska, Oberstudiendirektor Malz, aby wycelbrować orację nadziewaną łaciną! Pewnie i brat Herberta, ten żalosny Hamlet w randze majora, co z łęku przed otyłością zamienił kancelarię adwokacką na podwórko koszar, przydyszał z gratulacjami. Jest, oczywiście, i von Wickenberg senior, prezes Ligi Monarchistów i klubu łowieckiego, nie mogący przeboleć utraconych rewirów myśliwskich na wschodzie, i Studienrat Jacobi, a jakże, wszak to impreza w sam raz dla niego! Białe krawaty! Racice w lakierkach! Dyga na wszystkie strony, wspomnienia kulinarne sprzed lat przeplata cytatami z Schillera: befsztyczek zjedzony w Paryżu i „*Wilhelm Tell*”, szczupaczek po żydowsku, zmieciony w dalekim Tarnopolu, i „*Maria Stuart*”... W rogu pokoju

świeci, oślepia wszystkich tysa pała fabrykanta rurek neonowych. Herr Jelonke ze swoim bezsensownym: „Kto z państwa jeździł kiedy na słoniu, ten wie...” Jakieś wydelkotowane, girlandami podbródków obwieszone monstra brzydoty: żony fabrykantów, dyrektorów naczelných, regierungsratów, z naftaliny wyciągnięte komtessy i baronessy, brylantami roziskrzane, z kokardami na opiętych biodrach. Drugi bohater wieczoru: rumiany adwokat z Monachium! Wiruje na obcasie jak ballerina. Kieliszek w ręku, policzki wypchane pasztetem. Już nie potrzebuje czarować widowni książeczką wojskową. Powinni byli i staruszka prokuratora zaprosić na *party*, aby sobie po cichu cukierki eukaliptusowe połykał w kąciku. I wszystkich przysięgłych zwieźć samochodami na wesołe płyśy. Jak zabawa, to zabawa, *Mississippi Boys*! A najstarszy rangą i zasługą oberupior przeszłości, pewnie jakiś ekshumowany marszałek, wznosi teraz zdrowie gospodarza: *Lieber Walther! Willkommen zu Hause!*... Orkiestra, tusz! *Hoch soll er leben!*... „Cieszymy się, gratulujemy — rozlega się dokoła — sprawiedliwości stało się zadość!”... Generałostwo nie uznają nowoczesnego, barbarzyńskiego ucztowania na stojąco — z kanapką w ręku. Po toaście młodzi znowu puszczają się w ogniste, zamorskie tany (Gizela z Wickenbergiem!), damy z kokardami na biodrach zajmą fotele i kanapy na towarzyski świergot, a panowie wycofają się do gabinetu generała. I dopiero tutaj, *Kameraden*, wśród ścian przybranych starą bronią i gablotek z orderami (brylant jest z Holandii!), buchnie swojszczyna. Jak niegdyś w kasynie! „Spocznij, wolno palić!” Chóralny rechot po każdym kawale, służąca wchodząca z tacą zaraz może oberwać głośnego klapsa poniżej pleców, panowie są między sobą, głośno wybuchy radości w rodzaju *Himmel, Arsch und Wolkenbruch*! Może się zacznie od starohanowerskiej piosenki kirasjerów, a może od marsza *Wir sind alte Kameraden*, a potem coraz głośniejsze, coraz swobodniejsze, z biciem się po udach, z tupaniem w dywan, bo bez zdercia sobie gardła nie ma dobrej, żołnierskiej zabawy! A zatem razem, *alte Kameraden*, razem i ze wszystkich sił! Na całe Bochum i na cały świat: *...wenn einst die Fan-fa-ren, die Fan-fa-ren wie-der klin-gen, hoi! Wie-der klin-gen, hoi!*...

— Dobrze, że mnie tam nie ma! — zawołał z ulgą.

Lecz już w chwilę później, poderwany tęsknotą, wybiegł z domu. Z nastawionym kołnierzem, z rozrzuconą czupryną przeleciał sąsiednie uliczki. Bez tchu przypadł do znajomej furty, by nasycić oczy nowym cierpieniem. Brzydka, secesyjna willa. Wieżyczki z zielonymi pikethaubami, a na samym szczycie blaszana chorągiewka. Cały dom stał w ogniu muzyki i radości. W oknach i na tarasie płonęły tandetne, karnawałowe lampiony z różowej bibułki. Na tle firanek wirowały cienie roztąńczonych par. Muzyka grała walca... Gdzie jest jej cień? Na ulicy lśniły sznury limuzyn. Pod żywoptotem stała groma-

da gapiów. Dwóch fagasów w białych rękawiczkach nie pozwalało wyrostkom podchodzić za blisko. Gdy orkiestra ucichła i cienie zniknęły z okien, nastawił ucha.

— Nowy Chrysler dyrektora banku Haasa! — zachwycił się jakiś znawca samochodów. — Śliczna linia, co? A tam, spójrzcie, co za cacko: „Thunderbird” dr. Ernsta ze „Stahlbau A.G.”! A jednak wszystkich bije Rolls-Royce „Silver Wraith” hurtownika Berga z „Süd-Importu”! Czy wiecie, ile taki wóz kosztuje? Sto tysięcy marek!

Jakaś kobiecina w konduktorskiej kurtce nie mogła wyjść z podziwu:

— Widzieliście, ludzie, te futra? Nurki, sobole, brajtzwance! I te brylantowe tiary we włosach? Skąd oni mają tyle pieniędzy?

— Nakradli się w czasie wojny — zadudnił czyjś bas. — A potem Amerykanie ich złotem obsypali!

— Ci na górze zawsze będą mieli, a dla nas — pylica!

— Bez taniej demagogii! — zaprotestował kto inny. — Mogli przecież odziedziczyć po przodkach albo sami zapracować...

— Zapracować? — oburzył się bas. — Haruję od dziecka i jakoś sobie na nic nie zapracowałem, tyle że nie głoduję i portki mam całe...

— ...i aparaciek telewizyjny i Volkswagen i lodówkę i trochę oszczędności w banku — dorzucił jakiś sceptyk. — Znamy takich!

— Tak, tak, teraz jest nam lepiej! — przywodziło kilku innych gapiów.

— Jest wielki postęp! — zapiszczał jakiś chudzielec.

— Dawniej nas doili ręcznie — upierał się bas — teraz nas doją elektrycznie — taki to i postęp! Albośmy to przestali być krowami?

— Kiejs ty byk, a nie krowa! — zachichotała jakaś baba.

— No to chodź, krowo, do byka! — zarechotał bas. — Już ja ci...

Żołądek się wywraca na te ordynarne żarty. Ciemna, potulna, zawsze zdyscyplinowana hołota, na wszystko od pokoleń mówiąca: „tak”. Każdy z nią może zrobić co zechce. Lokajska mierza, służyć będzie każdemu za odpadek z pańskiego stołu, za napiwek, za patriotyczne słówko. Zamiast złapać za kamienie i powybijać wszystkie szyby w tej willi, zamiast wtargnąć do zbójckiej nory i potłuc wszystko w drobne kawałki, w skrytości ducha cieszy się z nie swoich futer, pereł i Rolls-Royce’ów. Stara bzdura: Jak tym, na górze, będzie dobrze, to i nam będzie dobrze!”

Zapomniał w rozpędzie, że sam mieszka w willi, jest synem zamożnego „dyrektora naczelnego”, a tam, w środku, bawi się jego ojciec...

— A co się tu właściwie dzieje? — dopytuje się podska-

kująca z ciekawości staruszka. — Powiedźcie, państwo, bo ja nietutejsza. Córuchnę wydają za męża? A za kogo?

Arturek czuje skurcz nienawiści w gardle.

— Nie wiecie, babciu? — roześmiał się ktoś w tłumie. — „Der tolle Schraff ist wieder da! Bohater wrócił do domu!

— Bohater?... — spytał ktoś z powątpiewaniem. — Jaki tam on bohater?

— Morderca! — wyrzuca ze siebie Arturek. — Zwykły morderca!

Odwraca się od roztańczonej willi i idzie do domu. Czuje ulgę. Od dawna dojrzewający wrzód pęka w tym okrzyku.

W kilka dni później dojrzał ją na rogu ulicy. Jaka elegancka! Jakby wyrosła po powrocie z zagranicy! W błękitnym *duffle-coacie* z drewnianymi klamerkami. W modnym berecie z włochatego *mohairu*. Jedwabna apaszka wzdęta na wietrze jak żagiel. Nowa, wspaniała torba, już innym niesiona sposobem. Zmieniła fryzurę, czesze się do góry... Dorosła kobieta!

Pokiwał czapką. Nie przystanęła, poszła dalej. Przyspieszyła kroku, przeszła na drugą stronę...

— Gizelo!

— Bardzo się śpieszę! — rzuciła niechętnie, nie odwracając głowy.

— Gizelo! — zawołał, zrozpaczony.

— Wyzdrowiałeś? — zapytała szyderczo.

Już nie pamięta, co jej mówił, na pewno coś niemądrego i bardzo chaotycznego, w zdenerwowaniu nie znajdował właściwych słów i argumentów, ale jeszcze widzi jej zwężone, niechętne spojrzenie i słyszy każde jej słowo.

— Czego oczekujesz po mnie? Żeby pojechała do Teisendorfu i złożyła wieniec na grobie tego burmistrza?

— Nie byłby to zły pomysł — powiedział.

— Czego ty właściwie chcesz ode mnie? — wybuchnęła. — Cóż mnie to wszystko obchodzi? Przecież ja miałam wtedy cztery lata! Przecież to nie moja wina! Ale tyś zwariował, Brandt ciebie zatrzał, Brandt nie kto inny! Von Wickenberg ma rację: ty nas nienawidzisz!

— Gizelo!... — próbował ją chwycić za rękę.

Odsunęła się ze złym błyskiem w oku.

— Zostaw! Nie chcę cię widzieć więcej!

Oparł się o ścianę, bliski płaczu. Włosy spadły mu na czoło. Zamknął oczy. Posłyszał oddalające się kroki na chodniku...

W szkole przesiedział wszystkie godziny martwy, ze spuszczoną głową, widząc tylko sęk w ławce. Dopiero po jakimś czasie, na korytarzu, wyrwał go z otępienia silny uścisk dłoni. W okiennej niszy zobaczył smutnie uśmiechniętą twarz Brandta i posłyszał jego słowa:

— Przyjacielu, syneczku... Ja jeden wiem, co się w tobie dzieje. Turciu, trzymaj się!

A wieczorem zadzwonił Herbert.

— Podobno Scharff zamierza kandydować przy najbliższych wyborach. Nie ma w tym sensacji, skoro w Bawarii jakiś były strażnik obozu koncentracyjnego też się pcha do parlamentu...

Dość długo skradał się do tematu, aż wreszcie brudnymi paluchami dostał się do otwartej rany:

— Chociaż w starożytności obcinano głowę zwiastunom hiobowych wieści, może będzie lepiej, żebym ja, twój przyjaciel, powiedział ci o tym, niż byś miał się dowiadywać prawdy od innych...

— Co się stało? — zapytał Arturek.

— Bądź mężczyzną, drogi Turciu! Wczoraj wieczorem widziano Gizelę, jak wychodziła z parku pod rękę z von Wickenbergiem...

— Co robić: kismet! — zdobył się jeszcze na chwilę spokoju. — Bóg zapłać, Bertek, za dobrą nowinę!

Lecz zaraz potem, jak mały chłopiec, z pięściami przy oczach, rzucił się na łóżko.

Uciec stąd! Wyjechać dokąd oczy poniosą! Wyrwać się choć na kilka dni! Nie widzieć tych strasznych ludzi! I tego wstrętnego miasta! Nie oddychać zatrutym powietrzem! Przekłete Bochum!



Arturek, wychylony w oknie pędzącego pociągu, podązał nie na zachód, ale na południowy wschód. Wystawił twarz na pęd powietrza. Owiał go zapach trawy. Zmrużył oczy i wchłaniał w siebie nowy krajobraz. O, teraz droga wysadzana lipami, drynda z budą, miasteczko z żółtymi skrzynkami pocztowymi, dwóch brodatych emerytów w myśliwskich kapeluszach gestykuluje porcelanowymi fajeczkami na samym środku rynku, kilka roztrzepotanych gęsi w bajorze, jacyś młodzieńcy z rozpiętymi na piersiach bluzami podpierają drewniany parkan, żona dróżnika kurczowo przytrzymuje kieckę podbitą pędem od ziemi, koza wbita krzywymi nogami w zielen nasypu... Austria! Ziemia mojej matki!

Już na pierwszej stacyjce po drugiej stronie granicy powiało innym życiem. Wsiedli z hałasem nowi pasażerowie i od razu zabalgotano w powietrzu od beztróskiego śmiechu. Ubrani byli barwniej i jakby z rozmyślną niedbałością. Bez dopięcia na ostatni guzik, bez wcięcia w pasie (Paps by powiedział: *Oesterreichische Schlamperei!*). I nie mieli natężonego wzroku ani napiętych mięśni twarzy, co się tak często widuje w naszych stronach. Przy chrupaniu precli i picu wina prosto z butelek poruszali zabawnie wąsiskami w kształcie rowerowej kierownicy, coś co podziwiać można tylko na historycznych portre-

tach lub w komediach muzycznych. W powietrzu unosił się śpiewny akcent zupełnie innej niemieczyny. Spółgłoski i samogłoski goniły się po drabinie dźwięków w coraz szybszym rytmie. Nie każdy to lubi, są nawet tacy których drażni ten lekko-myślny zaśpiew, ale do Arturkowych uszu wpadał on przyjemnie jak ciepły, słoneczny promień, załamujący się właśnie na podskakujących za szybko drutach telegrafu. Jacy oni inni! O ile swobodniejsi!... Austria! Ziemia mojej matki!

A gdy figlarnym dyszkantem zapiął ktoś po wiedeńsku na cały przedział: *Machen S'doch keine G'schichten!*, od razu cały świat poweselał. Artorkowi aż się w głowie zakręciło z uciechy! Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów roześmiał się na całe gardło. Wydawało mu się, że lokomotywa z radosnym parsaniem wspina się na tylne koła jak wytresowany koń w cyrku. A tu jeszcze przy samym torze, co za frajda, wiruje pijana karuzela! Pisk dziewcząt goniących własne włosy w pędzie, łopot hałeczek, turkot spalinowego pyrkadła i cudowny bełkot katarynki wpadający prosto do przedziału. Jak tutaj inaczej! O ile piękniej niż w ponurym, wiecznie zadymionym Bochum!... Austria! Ziemia mojej matki!

A do tych wrażeń dochodzi jeszcze dygot wewnętrzznego niepokoju. Któż to tylko powiedział: „Raz się wyrwawszy z ojcowskiej uddzienicy, żadnego nie zniesiesz arkana”? Tak, ten pierwszy samodzielny „skok” do Austrii kryje w sobie urok zakazanego owocu. Arturek wymknął się z domu zgrabnie niczym zawodowy złodziejasek z aresztu. Zmylił czujność ojca z przebiegłością, jakiej by mu pozazdrościł niejeden układacz sensacyjnych opowieści. A więc wcale nie pojechał na wystawę do Brukseli, o czym głośno zapowiadał w domu. Do Belgii pojechał kto inny: Karolek Pfirsich. I stamtąd właśnie uczynny Karolek, na którym zawsze można polegać w podobnych sytuacjach, wysłać będzie co dzień widokówkę z pawilonem. Trudno o lepsze „alibi”...

Pocziwy Paps! Odłożył nawet jakąś ważną konferencję i, niczego się nie domyślając, odwiózł go swym Mercedesem na dworzec, a jakże — wycalał w policzki, potargał mu na pożegnanie czuprynę, kieszenie powypywał cytrynowymi dropami...

Arturek zmarszczył czoło i przez chwilę nie dostrzegał pędzących za oknem zagajników. Oczywiście, nie powinno się oszukiwać własnego ojca, to grzech. Pfirsich nieraz powiada: „Mój stary jest zasuszonym, gorzkim jak wiadro piołunu pastorzydłem, twój, Turciu, to zupełnie inna klasa!” A jednak... Na pewno obyło się bez podstępów — zagłuszał w sobie wyrzuty sumienia — bez skradania się z pociągu na pociąg, bez kolorowych pocztówek z Brukseli (niełatwo je było zdobyć w Bochum), gdyby kochany Paps przy wszystkich swoich zaleczeniach... Ach, po co znów o tym myśleć, przypominać sobie wszystkie zmartwienia na nowo!

Gdybym nie był synem naczelnego dyrektora — pomyślał z goryczą — jechałbym teraz do Valentina („człowieka z gminu”, jak mówi Paps) legalnie. „Nie martw się, obłudniku! — szydzi nieraz Herbert. — Bogactwo nie hańbi. Moja rodzina jest biedna i też diabła warta”. W czym to jednak austriacy Praxmeyerowie są gorsi od westfalskich Ostermannów? Dlaczego sympatyczny, nieszkodliwy, Bogu ducha winny wąsał Valentin (*Herr Ober*, „knapciarz” — jak go Paps nazywa z niechęcią; wiadomo: „Ostermannowie nigdy nie kelnerowali”), od dziesiątków lat prowadzący staroświecki *Caféhaus Talisman* nad Dunajem, miałby zasługiwać na mniej szacunku niż ci wszyscy nadęci, nowobogacy brzuchacze z Zagłębia Ruhry, koleżkowie Papsa, zamerykanizowani w najpłytszym tego słowa znaczeniu, co to plotą w kółko tylko o swoich interesach, o telewizji i o samochodach. „Ostermannowie byli niegdyś majstrami u Kruppa, to fakt, ale nie usługiwali nikomu w szynku!”... A ja nie wiem, drogi Papsie, co jest bardziej nobliwe: Krupp, fabryka narzędzi śmierci w Essen czy *Caféhaus Talisman* we Wiedniu? Taki rubaszny prostak, Jelonke, na przykład, fabrykant rurek neonowych („Kto z państwa jeździł kiedy na słoniu, ten wie...”), ma prawo być w naszym domu o każdej porze dnia i nocy, ale stary Praxmeyer, chociaż ojciec mamy, okazuje się nagle niegodnym dostąpienia tego zaszczytu „ciasnym, parafianśkim łbem”... A gdyby *Herr Generalleutnant a. D.* Walther Scharff (poczuł siarkę w przetyku) czy Herr Graf von Wickenberg (nowa porcja siarki) przyszli złożyć swoje uszanowanie, Paps, człowiek bądź co bądź nieprzeciętny, figurujący w „Encyklopedii Gospodarczej”, wybiegłby w lansadach przed dom, aż do furtki... Nie dorobił się nieborak Valentin, nie opalił się w słońcu „cudu gospodarczego”, bo się niefortunnie ulokował geograficznie, nad Dunajem zamiast nad Renem, to wszystko. „Nie każdy miał szczęście przegrać wojnę” — powiedział kiedyś Brandt. Austria w zasadzie też przegrała, ale nie spadł na nią powojenny deszcz złota.

I żeby mi nawet nie było wolno jawnie korespondować ze starym Valentinem, czy to nie przesada, drogi Papsie? „Jeśli będę miał kiedyś dzieci — zapowiada czasem pastorski synalek, Pfirsich — pozwalać im będę absolutnie na wszystko. Spójrzcie na mnie! Nigdy by mi do głowy nie przyszło zrywać się ze smyczy, gdyby mój świętobliwy ojczulek nie trzymał mnie zbyt krótko. Bronię się jak mogę: po każdym jego kazaniu o zgubnym wpływie alkoholu na organizm młodego człowieka, chociaż wódki nie lubię, skok na motocykl i do karczmy; po każdym jego kazaniu o grzechu nieczystości, chociaż kobietami się nie interesuję, chlust wodą kolońską i na dziewczynki!” Przechwałki pryszczatego nieśmiałka, ale coś tam jest na rzeczy: na gwizdek policjanta i porządny człowiek rzuca się do ucieczki. „Dlaczegoście uciekali? — pytają się później. — Bo nas gonili!”...

W ostatnim liście, przysłanym, jak zwykle, na poste restante, stary dziwak z Wiednia napisał: „Już ja dobrze wiem, dlaczego twój ojciec chciałby mnie wykreślić z pamięci. Lepiej nie próbuj się dowiadywać”... List-zagadka! Zaprawdę, „Tajemnica rodu Rodriganda” — skrzywił się, zde gustowany. — Kicz unosi się w powietrzu. Karl May *redivivus*...

Zaraz dojeżdżamy!

Jest inny, stokroć ważniejszy powód, dla którego wykradł się z Bochum... Nie! Lepiej o tym nie myśleć! Właśnie przed chwilą w brukowej gazecie, kupionej w dworcowym kiosku, wyczytał przypadkowo w głupawym, chyba dla kucharek przeznaczonym „Poradniku Psychologa” receptę dla jakiejś „Strapionej Gretl z Tyrolu”:

„Szczęście czy nieszczęście, droga Gretl, jest li tylko (!) kwestią uświadomienia sobie tego czy innego procesu psychicznego w mózgu, obiektywnie rzecz rozpatrując — w ogóle nie istnieje. Jeśli nie dopuści Pani do tego, by dane wyobrażenie, a więc twój mózg, umiejscowiło się na dłużej w zwojach mózgowych (tak, to trudne, ale proszę tylko spróbować!) od razu poczuje Pani kolosalną ulgę...”

Psycholog od siedmiu boleści! Pasem go przeciągnąć za taką „terapię”!

Na dworcu w Salzburgu, na widok gromady roześmianych dziewcząt w „duffle-coatach”, złapał go kurcz tęsknoty. Wyskoczył z wagonu na peron, kupił kartkę z widokiem gór. W Bochum gór nie ma, niech zobaczy jak tutaj pięknie. Już wypisał znany na pamięć adres, przy imieniu i nazwisku ręka mu drżała jak w chorobie, ale po namyśle pocztówkę podał i wyrzucił z pędzącego pociągu...

— Młody człowieku! — doszły go wesołe okrzyki towarzyszy podróży. — Wiesz, jak wiedeńczyk nazywa swój brzuch? *Backhendlfriedhof*. Siedem tysięcy ton pieczonych kurcząt zjadamy co roku! Zaraz po wyjściu z dworca, na kurczaka — biegiem marsz!

Jeszcze kilka podrygów na rozwidleniu szyn i jesteśmy u celu podróży! Szczupły młodzieniec, odziany w kraciatą wiatrówkę i welwetowe spodnie z trudem panował nad podnieceniem. Najpierw sprawdził czy nie zgubił biletu (przyjeżdżał z kraju w którym gubienie legitymacji, biletów i innych zaświadczeń jest bardzo źle widziane), potem zdjął z górnej siatki torbę podróżną typu „Sherlock Holmes” (Paps ją kiedyś przywiózł z Genewy), przez chwilę wciskał nerwowo pod pachę książki i gazety, wreszcie z wielkim rozmachem wyrzucił jasno blond czuprynę przez okno wagonu.

— Czy to już? — ze zdenerwowania zapytał zbyt wysokim, niemal dziewczęcym głosem.

— Tak jest? — gruchnęło w przedziale. — *Hauptbahnhof Wien!*

Zegar na peronie wskazywał jedenastą. Pociąg pośpieszny z Monachium wjechał na stację punktualnie co do minuty.

Arturek roześmiał się. Dobry omen!

Przepchnął się przez tłum do postoju taksówek i zawołał donośnie jak dowódca przed frontem kompanii:

— Favoritenstrasse 10! *Caféhaus Talisman!*

Dziadek Valentin rozrzewnił się przy powitaniu („tyle lat, tyle lat!”), nos kilka razy w kraciatą chustkę wytarł, ale zaraz na wstępie powiedział:

— O jedno cię proszę, robaczku: na temat twego ojca lepiej nie rozmawiajmy. Jest to sprawa dla mnie za bardzo bolesna. Lepiej, żebyś o tym wszystkim nie wiedział...

Nie rozmawiajmy, to nie rozmawiajmy. Spróbujemy go zagadnąć przy innej okazji. Nie dziś, to jutro. Wytrwałym szczęście przyja, i tak przed upływem tygodnia nie ma się stąd co ruszać.

Valentin, mimo podeszłego wieku (chyba ma już osiemdziesiątkę?), nie wstydząc się fartucha wychodzącego spod kamizelki i ściereczki pod pachą, uwija się po swojej kawiarni...

...jak wiewiórka — pomyślał Arturek.

Rzeczywiście, oczka ma lśniące, całkiem wiewiórcze, brwi ciemno-kasztanowe i te same barwy bokobrody, o dziwo, bez śladu siwizny. Czyżby próżny dziadzio farbował swój zarost? Właściwie wygląda aż za „typowo”, jakby go ucharakteryzowano do filmu z epoki tego monarchy, który zasępiony, z pochyloną głową stoi na cokole w cesarskim ogrodzie wśród krętych alejek i wspaniale rozgałęzionych buków i platanów. Dziadek z faworytami! Nie każdy może się poszczycić takim muzealnym wykopaliskiem! W całym Bochum nie znajdziesz podobnego. Można by go, tak jak stoi, w tych spodniach z lampasem, bardzo wąskich u dołu, wypchnąć na scenę operetki lub pod baterię jupiterów, by swoją chytrenką ale przy tym tak dobrotliwą twarzą radował oczy miłośników „Barona cygańskiego” czy „Zemsty nietoperza”.

Natomiast *Caféhaus Talisman*, nazwany tak chyba na cześć sztuki Nestroy’a, wzbudza w przybylszu z Westfalii znacznie mniej zachwytu. Arturek ma ochotę pootwierać wszystkie drzwi i okna na przestrzal. Ciemna, chyba od lat niewietrzona salka, chociaż tuż nad podłogą unosi się mydlany zapaszek świeżo wyszorowanych desek, przesiąknięta zbutwiałą starzyzną. Żyrandol-inwalida z wyskubanymi paciorkami, lustro w pękniętej ramie, tak zmętniałe iż od lat nie odbija obrazu, czas najwyższy wyrzucić do rupieciarni. Zrujnowane kanapki. Plusz, aż czarny od wysiedzenia, pachnie naftaliną. Nogi stolików i krzesielek, odrapane z politory aż do białości surowego drzewa, proszą się o stolarza. A z ciężkich, ciemno purpurowych portier bije skondensowany zapach tabaki. Za szybą, dla utrzymania jedności stylu i atmosfery, co jakiś czas przejeżdża konna dorożka, już z nowoczesnymi oponami z gumy, ale siwy fiaker po dawnemu pozdrawia znajomych wyblakłym ze starości melonikiem. Także i na sąsiedniej kamienicze, na murze

apteki widnieje szyldzik-osobliwość starowiedeńska: „Nacht-Telegraf”; tak się nazywa dzwonek do wyrzucania aptekarza z łóżka.

A klientela też się tutaj schodzi bardzo osobliwa, dosłownie ze starego żurnalu wycięta. Któż na co dzień nosi sztywne kołnierzyki w Bochum? Może pastor Pfirsich, może ta mumia Oberstudiendirektor Malz, i na tym koniec. A tutaj zjawiają się goście ze sztywnymi obrożami wokół szyi i niejedno podgardle nosi czerwony odcisk twardego krochmalu. Któż nosi dzisiaj getry albo kalosze w naszych stronach? Nikt! A tutaj przy drucianym koszu na parasole stoi umyślna brytfanna na kalosze. Muzeum osobliwości! Ledwie Boga pochwałą i buty z kaloszy oswobodzą, biegną do gazet. Na długiej listwie wiszą dziesiątki papierowych proporców na drzewcu: kolekcja krajowych i zagranicznych dzienników, chluba „Talizmanu”. Niektórzy, nienasyceni, łapią po kilka gazet na raz. Zabawnie wygląda taki chomik w rogu: jedną płachtę trzyma przed sobą, drugą kurczowo przyciska łokciem do stołu, a resztę dzienników, jak poduszkę, przygważdża swoim ciałem. Choćby się rzuciła na niego cała kawiarnia z laskami, nie odda zagarniętego skarbu spod siedzenia...

Groteskowa figura, pozeracz gazet, a jednak Arturek nie wybucha śmiechem: w tej chwili przypomina mu się pewien fragment z książki Mauritiusa. Zaprawdę, zatruty podarek! Naciera na człowieka w najmniej oczekiwanym momencie:

„...od pewnego czasu przekrada się na nasz barak student z Warszawy, niejaki Nowakowski. Za porcję chleba kupuje „na czarnym rynku” gazetę. — „Wolę nie jeść” — mówi — „a wiedzieć co się dzieje na świecie”... Ale już nie przychodzi. Wczoraj wieczorem pobili go kijami własni rodacy, krzycząc: „Nie dość, cholera, że Niemcy Warszawę spalili, to ty jeszcze niemieckie gazety czytasz!” ... Ile nienawiści dźwiga każdy z nas na swym grzbiecie! I jak to wszystko kiedyś naprawić?”...

Valentin ma do pomocy dwóch „leniwych smarkaczy” (jak ich nazywa). Każdy z nich dawno przekroczył pięćdziesiątkę. Goście wołają na nich per „panie Franciszku”...

— Dlaczego?

— A bo u nas, we Wiedniu — wyjaśnia Valentin — taki już zwyczaj: nie mówi się *Herr Ober*, ale *Herr Franz*. Obcego, robaczku, od razu poznasz po tym *Herr Ober* i po barbarzyńskim okrzyku *Eine Tasse Kaffee*! U nas każdy wie, jakiego chce kawy...

Arturek nadstawia ucha. Rzeczywiście, goście wołają: *Herr Franz*, *kleinen Mokka*! Albo: *einer Kapuziner*! Albo: *einen Einspänner gespritzt*... *Einen Braunen*!... *Eine Schale Gold*!... Więcej *Schlagobers*!... *Kleinen Schwarzen*!...

Jakiś inny, tajemniczy, z kawowych aromatów wyczarowany świat...

Dziwne rzeczy dzieją się w tym niezwykłym „Talizmanie”. Na przykład godzinę temu zjawił się w kantorku jakiś młody

człowiek w rogowych okularach z grubą tęczką pod pachą. Kłaniał się grzecznie, uśmiechał, chciał coś wyjąć z teki, a stary Valentin bez słowa, ze ściągniętymi brwiami, wskazał mu drzwi.

— Co się stało? — zaniepokoił się Arturek.

— Nic ważnego — burknął dziadek.

A teraz, rozpiływając się w uśmiechu, zjawia się nieznajomy po raz drugi i już od proga powiewa kolorowym prospektem.

— Czy pan się dobrze namyslił, Herr Praxmeyer? — pyta słodko.

— *Rrraus*! — warczy stary, odsłaniając żółte zęby.

Jeszcze chwila, a ściereczka, którą zawsze trzyma w pogotowiu dla przegonięcia niewidzialnej muchy znad stołu, przyklei się do twarzy przybysza.

— Co się stało? — zapytuje Arturek po wyjściu tajemniczego osobnika.

— Nie! Nie! Nie! — piekli się Valentin. — Nigdy w życiu! Co za natręt! Wiesz, robaczku, czego on ode mnie chce? Żebym się poddał, żebym się ugiął i wywiesił białą chorągiew. Na dwanaście rat mi to świństwo chce rozłożyć...

— Jakie świństwo?

— Takie nowoczesne, chromem połyskujące świństwo do parzenia espresso, maszynę z Mediolanu! Po moim trupie!

— Dlaczego? — śmieje się Arturek. — A cóż w tym złego?

Stary Praxmeyer poczuł się wyraźnie urażony. I jak nie wybuchnie:

— I ty, syn mojej córki, pytasz się „dlaczego”? Spójrz tylko, co się dzieje! Setkami ohydnych, barbarzyńskich barów espresso zaśmiecono cały Wiedeń! Bandyckie dziuple, w których ludzie wypijają filiżankę trucizny w pośpiechu, na stojąco. Nawet niektóre zwierzęta siadają do posiłku, oni zaś stoją! A tutaj — powiodł ręką po swojej ruderze — panuje spokój, promieniuje ciepło, jest drugi dom. W moim „Talizmanie” poeci pisywali swe najlepsze wiersze na kawiarnianych serwetkach, kompozytorzy układali najpiękniejsze wale. Kto tutaj nie bywał! Piotr Altenberg, Artur Schnitzler, Hermann Bahr, wielki Karol Kraus, Józef Roth z butelczyną w kieszeni płaszcza...

— Znam! Znam! — wykrzyknął Arturek. — Wspaniały pisarz! Czytałem jego „Marsz Radetzky’ego”. Profesor Brandt, który znał go osobiście, nazywa tę książkę „bukietem kwiatów”...

...na grobie starej Austrii” — chciał powiedzieć, ale ugryzł się w język, by nie urazić dziadka Valentina, który wskazując właśnie na najciemniejszy kąt rudery lamentował dalej:

— W rogu bilardowej sali studenci przygotowywali się do egzaminów. Nieraz taki głodomor zamówił *kleinen Schwarzen* za dwa szylingi i przesiadzał nad nią całe popołudnie, a myśmy, robaczku, uważali, żeby mu nikt nie przeszkadzał w nauce, bo z takiego chudzielca z czasem sławny doktor lub profesor

będzie... Póki ja żyję, nie będzie tu ani telewizji, ani automatu muzycznego ani neonu ani tego paskudztwa z Mediolanu! Póki żyję, robaczku... — głos mu się nagle załamał, pociągnął nosem. — Bo przecież już niedługo sprawdzi się ten stary wiedeński wierszyk w którym grzeczna i cierpliwa śmierć powiada: *Lieber Valentin, mach keine Umständ', geh...*

Jak miękko, jak śpiewnie mówi Valentin to *geh*!...

Wieczorem *Caféhaus Talisman* pozostał na łasce dwóch „leniwych smarkaczy”, Franzów. Arturek zaprosił dziadka do opery. Wsiadli do dorożki i pojechali na „Wesele Figara”. W dorożce dziadzio zaczął sobie podśpiewywać.

— Znasz tę piosenkę, robaczku? *Lampenputzer ist mein Vater?* To berlińska piosenka, ale stosuje się do mojej rodziny. Mój ojciec, Nepomuk, czyścił kiedyś lampy w Burgtheater (jeszcze w tym starym), a matka prała koszule studentom i kadetom. A jednak, gdy mogli się przenieść na lepszą dolę do Berlina, moja matka zadarła nosa jak hrabina: „Nie pojedziesz chyba, Nepomuk, do jakiegoś tam plebejskiego Berlina!” Takich słów używała!...

Przy oddawaniu płaszczy w garderobie Arturek spostrzegł jak popularną postacią w mieście jest dziadek Valentin.

— *Jessas*, sam Herr Praxmeyer! — ścisłano mu rękę. — Nasz kochany pan Valentin!

Zmęczony całodzienną pracą Valentin co najmniej jeden akt przespał snem sprawiedliwego, nawet najgłośniejsze kaskady muzyki nie zdołały go wyrwać z objęć Morfeusza. „To już nie to, co kiedyś — mruczał tylko — nie te głosy, robaczku!”... Arturek zaś, przechylony przez poręcz balkonu niemal do pasa, chłonał w siebie kolorowe szczęście wszystkimi porami ciała, urzeczony, przeniesiony w inny świat...

A w nocy, rozwibrowany muzyką i bogactwem nowych wrażeń, długo nie mógł zasnąć. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak dziwnie. Miał wrażenie że się odmienił wewnętrznie i skrzydła wyrastają mu u ramion. Gdy zasnął, miał sen, bardzo niezwykły sen. Nic z Mozarta, nic z Wiednia. Raczej jakaś dziesiąta woda po widzianym niegdyś filmie o Lindbergu.

...jechali wspaniałym otwartym wozem przez Piątą Ulicę w Nowym Jorku. Paps w białym fraku, z wieńcem laurowym na czole, i on, rozdygotany ze szczęścia Arturek. Eskorta honorowa na motocyklach. Sami znajomi. Przebrani jak w karnawale. Pastor Pfirsich w przeciwnatomowym kombinezonie, młynarz z Teisendorfu w bawarskim kapeluszu z tablicą Czerwonego Krzyża. A tam — Brandt z Mauritiusem w kacetowych drelachach w aureoli z drutu! Jest i Gizela w błękitnym „trapezie” z Zurychu, roześmiana w pędzie, cała w zamieci włośów! Za nią jakiś Hindus, bodaj joga, pewnie ten Bangaku Hakushi. I *Mississippi Boys* na lambrettach! Jadą na samym dnie niebotycznego wozu! Po obu stronach strome skały, wspaniałe nowojorskie drapacze chmur! Hosanna! Ze wszystkich okien lecą kwiaty i białe papierki. Krzyki tłumu, oklaski,

łoskot orkiestry. Paps kłania się wieńcem jak cylindrem. Potężny głos woła w megafonie: „Niech żyje laureat nagrody Nobla, dobroczynca ludzkości, największy chemik wszystkich czasów, dr Erich Ostermann, ojciec Arturka!” ... Biją dzwony kościelne. Huczą syreny okrętowe w porcie. Samoloty wypisują na niebie: *God bless Ostermann!* A tam, nad domami, wielki nadmuchany balon, kukła z nicejskiego pochodu, to fabrykant Jelonke! Nie! To jego słoń unosi się w powietrzu! („Kto z państwa jeździł kiedy na słońcu, ten wie...”) Coraz więcej kwiatów i muzyki, Niagara śpiewu! „Niech żyje Erich Ostermann!” — woła potężny głos w megafonie, głos z samego nieba. — Pierwszy człowiek na ziemi, który zwyciężył śmierć, twórca pastylki „Vita aeterna”! Wielki dobroczynca ludzkości, honorowy obywatel świata! A teraz, jak okiem sięgnąć, tysiące, tysiące obnażonych głów. Tłum ukląkł przed nimi. Bucha wonne kadzidło z góry dzieciństwa, ze słonecznej, matczynej pielgrzymki do Neviges, lilie lecą z nieba... Arturek nie może wydobyć głosu. Łzy spłynęły mu do gardła. Obejmuje ojca za szyję, ściera mu kwiatami zmarszczki z czoła, i czuje potężny łoskot w piersi: „Mój Paps! Mój Paps!” — Jestem bardzo, bardzo dumny z ciebie”!...

Nadszedł trzeci dzień wagarów, trzeci dzień Wiednia.

Słoneczny, niemal wiosenny poranek. Arturek zasiadł do chrupkich kajzerki i smacznej kawy z kożuszką, jeszcze uśmiecnięty do swego snu. Przeglądając gazety, spostrzegł że więcej w nim artykułów o wystawie Kokoschki, o nowym dyrektorz Burgtheater, o przyjeździe orkiestry symfonicznej z Filadelfii, niż o polityce. Jeden z recenzentów, oceniając premierę „Henryka IV” Pirandella w teatrze *in der Josefstadt* pisze właśnie: „Z rozpoczęciem sezonu teatralnego wiedeńczyk pogłębia swoje życie urojone, odwraca się od spraw codziennych, żyje snem. Szczęśliwe plemię! Ze wszystkich fanatyzmów uznaje tylko jeden: fanatyzm sztuki”. A tutaj, w kronice kulturalnej, donoszą że do Wiednia przyjechał Joachim Mauritius. Zatrzymał się na kilka dni w hotelu „Pod Orłem”. Jutro odbędzie się jego wieczór autorski w „Akademietheater”...

— Znam go osobiście — pochwalił się dziadkowi. — Podaował mi swoją książkę z własnoręczną dedykacją. Gdybym chciał, mógłbym mu nawet złożyć uszanowanie...

Ale Valentin o tej porze dnia nie ma czasu na rozmowę. Już od szóstej na nogach, uwija się po swoim królestwie, roznosi pierwszym gościom kawę, podsuwa im świeże dzienniki, „leniwych smarkaczy” posyła do lodówki po *Wiener-Hochquellenwasser*, odgaduje myśli swojej klienteli.

— A teraz, robaczku — rzuca w zaferowanym biegu z tacą — na spacer! Poczymchaj sobie trochę po Ringu! Pogoda jak w czerwcu...

No to sobie poczymchaj! Dobrze, że tu przyjechał! Chodzi sobie teraz przez cały dzień po Wiedniu, zaczarowany turysta.

Po wesołej Kärntnerstrasse, po ruchliwym Placu Karola, po rześcicie oświetlonym Placu Europy. Oby tylko Karolek Pfrsich wysłał regularnie pocztówki do domu, a wszystko będzie dobrze! Był już w sławnego Demla. Na pozłacanej kozetce wciął porcję *crème du jour*, poprawił ją *crème Grenoble*. Zajął do „hiszpańskiej szkoły jazdy”. Jeszcze słyszy trzepot fanfar w białej sali, czuje zapach trocin i końskiego potu, widzi jak sławne „Lippizanery” tańczą na środku ujeżdżalni w takt Straussa, a gdy na zakończenie spektaklu jeźdźcie we fracku i pierogu zastyga w ciszy na ogierze (tylko siodło skrzypi i para bucha z nadętych chrapów) przypomina się Prinz Eugen na wspiętym rumaku, uwieczniony w kamieniu przed Burgiem, na obleżonym przez tysiące wróbli Placu Bohaterów. Tyle tutaj do zobaczenia! Jeszcze nie był w krypcie kapucynów, nie widział „Madonny od bólu zęba” w katedrze, nie był w Praterze, nie pił wina na Grinzingu, nie wyskoczył do wiedeńskiego lasku... W tłumie widzi zyciwe, nareszcie ludzkie twarze. Ile ciepła bije od nieznanomych ludzi! Aż ochota bierze przywitać się z przechodniami. Czasem jakaś kobieta twarzyczka, dostrzeżona w przelocie, z oczu, włosów i uśmiechu przypomina mu mamę w młodym wieku, taką jaką spogląda w domu ze staroświeckiego medalionu. Dobrze, że mama była Austriaczką — roześmiał się. — Wszyscy ludzie na świecie powinni być Austriakami, życie od razu byłoby lepsze. A takie miasta jak Bochum powinny być policyjnie zabronione... Z winiarni i gospód wydobywają się kojąco banalne dźwięki walczyków. Ograne, a nie męczące, cudownie kiczowate, pełne fałszywej poezji, ale jakie przyjemne! A w zaułku pod Katedrą zachrypnięta babinka w kaszkiecie śpiewa przy katarynce „Balladę o żonobójcy spod Dürnstein”:

„... i utopił ją w Dunaju,
gdzie Dürnsteinu błyszczy brzeg,
ale ona mu wybaczy,
bo to najpiękniejsza z rzek”...

Słusznie: lepiej zginąć w błękitnym Dunaju niż w brudnej Ruhrze! I powietrze tutaj inne: bez dymu i czarnego deszczu. Nareszcie można odetchnąć pełną piersią... I lokomotywy nie szlochają po nocach, a łóżko w alkowie jest zabawnie staroświeckie (pewnie jeszcze babka w nim sypiała); łóżko-forteca: drewniane kule na poręczach, rzeźbione nogi, na piramidzie puchowych poduszek leży kapa z wyhaftowanym napisem: *Erwache und lache!*...

Gdybyś był teraz w domu, młody Werterze — wzdrygnął się — stałbyś pewnie udręczony, własną wyobraźnią ubiczowany, przed znajomą willą i wypatrywał wiotkiego cienia na firance, albo rozdeptywał kałuże ponurego parku, bojąc się, że w blasku latarni ujrysz ich wychodzących zza drzew we dwoje, rączka w rączkę, głowa przy głowie... O, niezapomniana pio-

senko z różowego saloniku: *Denk im Traum, dass wir uns lieben und dass wir uns nie verlieren...* Co radził konował-psycholog „Strapionej Gretl z Tyrolu”? „Nie dopuścić, by dane wyobrażenie umiejscowiło się w zwojach mózgowych”... Jak nie dopuścić, to nie dopuścić! A tam, w ogródku, jedna z tych „bandyckich dziupli”, znienawidzonych przez Valentina: „Bar Atom” z neonową kokardą na dachu, z frywolnym napisem nad wejściem: „Napij się, napij, choć jeden raz, gdy pęknie bomba, nie będzie nas”...

Wrócił późnym wieczorem, odurzony miastem jak młodym winem.

— Ośmy cud świata!

— Nie przesadzajmy! — burczy Valentin, zrzęda i narzekają. — Ot, taka sobie dziura, wioseczka z tramwajem i wysokimi podatkami. Trzeba było widzieć nasze miasto przed tamtą wojną. To był Wiedeń, to były czasy! — gładzi się po faworytach. — A jakie kawiarnie, robaczku! W Café Griensiedl na Kohlmarkt zbierali się poeci w pelerynach, w Café Corso panowie oficerowie, w Café de l'Europe na Stephansplatz aktorzy i muzycy. Ach, jeszcze między wojnami: taki „Fenstergucker” na Kärntnerstrasse... Było, minęło, nie wróci! To już nie ten sam Wiedeń...

— Piękne, wspaniałe miasto! — upiera się Arturek. — Gdyby tak dziadzio przyjechał do nas, do Bochum...

— ...nie zanosz się na to! — wtrącił Valentin.

— ...od razu by dostrzegł różnicę.

— Kiedy tu bieda, robaczku. My biedni, wy bogaci...

— My za wiele pracujemy. Pastor Pfrsich napisał nawet na ten temat broszurkę pod strasznie długim tytułem: „Pan Bóg wcale nie chce, żeby mieszkańcy miasta Bochum zapracowali się na śmierć”.

— To prawda — przyznaje Valentin, sam pracowity jak mrówka. — Stara, nieuleczalna choroba wszystkich Niemców. Odpoczywają dopiero po śmierci.

— Paps haruje od świtu do nocy, należy do najpracowitszych ludzi w Zagłębiu Ruhry — mówi Arturek z dumą. — „Sanitas” potroił swoje obroty!

— Nieźle, nieźle — stary odślania żółte zęby. — Pogratulować...

— A zaczynał po wojnie dosłownie od zera, bez grosza przy duszy...

— Ho, ho, robaczku — śmieje się Praxmeyer.

Arturkowi wydawało się, że dosłyszał w tym śmiechu niedowierzanie.

— Naprawdę! — wykrzyknął. — Bez grosza, bez niczyjej pomocy!

— Miał dosyć pieniędzy w Szwajcarii — mruknął Valentin.

— W Szwajcarii?... Pierwsze o tym słyszę!

— A tak, co w czasie wojny zarobił, ulokował za granicą. Był przecież dyrektorem firmy „Tesch & Stabenow”! Kokosowy interes, *pfui Teufel!*

— Co za firma? — skurczył się Arturek. — Co oni produkowali?

— Nic dobrego, robaczku! Wolałbym o tym nie mówić... *Herr Franz!* — zawołał czegoś rozgniewany. — *Zwei Kapuziner!*

— To niemożliwe... — przeraził się chłopiec. — Mój ojciec...

— Jeszcze nigdy nikogo nie okłamałem! — nasrożył się stary. — Wiem, co mówię!

— Co to za firma, dziadziu? Dlaczego powiedziałeś *pfui, Teufel!*

Valentin już nie słucha. Wita gości schodzących się na partijkę do bilardowej salki. Każdego pozdrawia tym samym radosnym zdumieniem:

— *Jessas*, kogo ja widzę! *Herr Baron! Herr von Weber! Nein, der Herr Ministerialrat* we własnej osobie! *Wer kommt da? Herr Assessor Cibulka! Küß die Hand, meine Herren!*

Arturka chwyta łęk, serce bije na alarm, nadciąga od dawna przeczuwane nieszczęście...

— Cóż to znaczy „nic dobrego”? — nachyla się nad Praxmeyerem. — Broń dla wojska?

Ale Valentin już się przeraził własnych słów. Zamilkł jak grób, nadąsał się, wszystkie pytania przecina niechętnym ruchem wychudłej, żółtymi cętkami zabrudzonej dłoni.

— Broń dla wojska? — naciera na dziadka.

— Nie męcz mnie, robaczku — jęczy Valentin. — Stary już jestem, od szóstej rano na nogach. Każdy człowiek krzyż swój dźwiga, *Gottigkeit*, dźwiga — rozżala się nad sobą. — Podatki coraz większe, klientela mi wymiera, zdrowia i sił ubywa; nawet czasu nie mam, żeby położyć się do łóżka i umrzeć jak się należy...

I lekko, bez śladu zmęczenia, oddala się do kantoru rozliczyć się z kelnerami.

Arturek wybiega na dwór. Nie wie co ze sobą zrobić. Przeciska się przez szumiący tłum, ale już nie dostrzega urody tego miasta. „Tesch & Stabenow”! — pulsuje mu w skroniach — „Tesch & Stabenow”! Firma o której ojciec nigdy nie wspominał. Luka w życiorysie. Lata przemilczane w „Encyklopedii Gospodarczej”. A jednak to nazwa dziwnie znajoma! Musiał o niej gdzieś słyszeć, coś o niej czytać... W gazecie? W książce? Tak, w książce! Ale w jakiej?...

I nagle strach zjeża mu włosy. Czuje lepkie gorąco na czole. Potrącając przechodniów, biegnie z powrotem do „Talizmanu”. Przebiega kawiarnię. Przepycha się przez ciasny kantor. Przeskakując stopnie schodów, wpada do alkowy. Zapala światło. Zdejmuje ze szafy torbę podróżną. Zanurza w niej rozdygotaną rękę i — wyjmując książkę Mauritiusa. Prze-

kartkował w pośpiechu kilkadziesiąt stronic. Tu! Nie! Nie tu! Dalej! Jeszcze dalej! Wreszcie znajduje! O, to było tutaj! Na stronie sto drugiej...

„...gdy byłem dzieckiem, bawiłem się z kolegami w „kotka i myszkę”. Spiewaliśmy przy tym proroczą, jak się okazuje, piosenkę: „Każdy, każdy ma kłopoty i my, myszki, i wy — koty”. Dzisiaj 20 kwietnia: urodziny wodza, największe święto w roku, dzień awansów. Wśród naszych kotów panuje wielkie podniecenie, które i nam, myszom, zaczyna się udzielać...

Nie, nie tu! Nieco dalej!

„...koło obiadu ma przyjechać z Monachium wysoki dostojnik z listą odznaczeń i awansów. Pracowity, gorliwy Fritsch (przydomek: „Zabijaka”) od samego rana chodzi nieprzytomny. Już od dwóch lat czeka na awans, w tym roku powinien dostać upragnionego „Hauptsturmführera”. Na uroczystą odprawę biegnie na nogach z gumy, blade jak trup. Wyglądamy przez szparę w drzwiach, by sprawdzić z jaką też miną wyjdzie z komendy...

Jeszcze dalej! Kilka wierszy niżej!

„...w pół godziny później wraca ze spuszczoną głową, i zamiast do oficerskiego kasyna, wchodzi na nasz barak. Siada na pryczy, jak równy z równymi. Bliski płaczu powiada: „Znowu mnie pominęto przy awansie! Po raz trzeci! A tak się starałem! Kto pierwszy zaprojektował hodowlę warzyw w obozie? Ja Fritsch! „Rhabarberkönig”-Fritsch! Komu nie uciekł ani jeden „Häftling”? Mnie, Fritschowi! Kto kazał obsiać trawniki przed komendą? Ja, Fritsch! Kto wpadł na pomysł, aby LUDZI „TESCHA & STABENOWA” ZASTĄPIĆ WŁASNYMI SIŁAMI? Ja, Fritsch! A mimo to awansu nie dostałem!...”

Tak! To tutaj! „Ludzie „Tesch & Stabenow”! Z rozgedu czyta dalej:

„...biedny, skrzywdzony Obersturmführer! Wychodzi z baraku o parę lat starszy, przygarbiony swym nieszczęściem. A na progu powiada: „Ja wiem: wam jest ciężko, ale wiercie mi: i mnie nie jest lekko w tym parszywym obozie!...” „Każdy, każdy ma kłopoty, i my, myszy, i wy — koty”...

Arturek szuka dalszej wzmianki o „Teschu & Stabenowie”. Choćby kilku słów wyjaśnienia, co to byli za ludzie, co robili w obozie? Przeszukuje następne stronic. Nie ma! Raz jeszcze sprawdza... Ani słowa! Z trudem panując nad nerwami, już druk mu skacze przed oczami, przeszukuje całą książkę, strona

po stronie... Nie ma. Jedno zdanie. Jeden, jedyny ślad. Jeden, jedyny odcisk palca...

Nie! Nie jedyny! Jest jeszcze coś...

Fotografia! — I naraz widzi nad sobą oczy zmrużone ze złości, grubą rękę pokrytą jasnymi włoskami, czuje piekący ból w palcach. „Nie wolno myszkować po szufladach! Masz po łapie! Masz!...” Fotografia wydartą z dziecięcej ręki. Ludzie w mundurach i w cywilu, a Paps w kitlu po środku. Czarny napis na białej tablicy. Nie „Sanitas”, tylko... „Tesch & Stabenow!” Przypomina sobie tę nieznaną jeszcze wówczas, tajemniczą literkę „&” między dwoma słowami. Valentin mówi prawdę. „Kokosowy interes”, ukrywany przed synem, musi zasługiwać na pełne pogardy *pfui*, *Teufel*! Ślad prowadzi w stronę drutów i śmierci, Fritschów i innych oprawców...

Arturek wciska kark między ramiona. Chwyta się instynktownie za policzek. Ma wrażenie, że dostał w twarz. Ten moment musiał nadejść, już od dawna się zbliżał, i oto nadszedł! Właściwie wie już wszystko! I od tej chwili ogarnia go niepokój rosnący z każdą minutą. A jednocześnie spada na niego świadomość czegoś na co właściwie czekał, czego się bał od wielu miesięcy. Oczekiwał ciosu, o którym wiedział, że go nie ominie. Czuje, że pękła w nim zbutwiała zapora, oddzielająca przez tyle czasu wszystkie obawy, złe sny i domysły od świata rzeczywistego. Przywiązany do krzesła, siedzi pod trzeszczącymi belkami, które zaraz runą. Mimo przerażenia olśniewa go odkrycie, że już wie, co go przywiodło na to miejsce: od dawna nadciągające, z mroków dzieciństwa wyłaniające się przeczucie nieszczęścia; on m u s i a ł tutaj przyjechać, tak jak musiał zostać uczniem „szczurolapa” Brandta, przeczytać książkę Mauritusa, wybrać się na rozprawę do Teisendorfu... Został wpisany w koło z którego nie ma ucieczki. Wszystko co dotychczas zobaczył, posłyszał, przeczytał i przeżył, sprzysięga się teraz przeciw niemu. Ludzie, którzy go ostatnio obstarpi, byli jakby umyślnie przez kogoś dobrani i podsunęci, odegrali rolę narzędzi w rękach nieznanej siły... Nie, to nie jest histeria ani początek manii prześladowczej, to zwykły przebiełsk rozeznania. Jam jest ten chłopiec z oleodruku, spętany na ołtarzu z polnych kamieni i naciętego drwa, z głową kędzierzawą w tył odchyloną, to nade mną wznosi się ręka zawzięta, uzbrojona w biblijny nóż...

Co dalej? — bije mu serce — co dalej?

Nie tracić tropu z oczu. I nie tracić czasu. Kuć żelazo, póki gorące. Wskoczyć do taksówki i pojechać do hotelu „Pod Orłem”. Upewnić się wreszcie, że to tylko majaki zmęczonej wyobraźni. Niechaj Mauritius wyjaśni z uśmiechem, że zaszło nieporozumienie: „Młody człowieku, masz słabe nerwy, składasz się z samego lęku. To była firma malarska, odnawiająca budynki”. Albo: „Fritsch miał na myśli hydraulików, zakładających kanalizację”...

Nie bij głową o ścianę! Nie próbuj się wyrwać z zamkniętego koła! — powraca fala strachu. — Przecież wiesz od dawna, jak się potoczą wypadki... Jutro dowiesz się całej prawdy. Nawet nie próbuj się łudzić. Już jutro spadnie na ciebie ręka, od lat wzniesiona do ciosu...

Całą noc nie może zmrużyć oka. Leży, nierozebrany, na łóżku i niewidzącymi oczami wpatruje się w sufit.

Nad ranem sprzątaczką mówi:

— Mamy nowego papieża!

Potem zjawia się dziadek i woła:

— Niedziela, robaczkę! Jedziemy do św. Stefana! Dożyliśmy wielkiego dnia...

Podniecony Valentin opowiada coś długo i głośno, na pewno próbuje przekrzyczeć stukot końskich kopyt na asfalcie. Starczy dyszkant dochodzi go jednak z daleka, z drugiego końca świata.

— ...urodziłem się w dniu śmierci Piusa IX, coś takiego! Młodość przeżyłem za Leona XIII, ożeniłem się za Piusa X, za Benedykta XV byłem na włoskim froncie...

Dzisiaj — wzdyga się z lęku — rozstrzygnie się wszystko! — ...za Piusa XI kazałem odnowić lokal i kupiłem nowe meble, za Piusa XII umarła mi żona i córka, a za Jana XXIII umrę ja...

Firma „Tesch & Stabenow”, tajemnica rodu Ostermannów!

— ...pomyśl tylko: sześciu papieży w ciągu jednego życia! Nie każdy może się tym poszczycić...

Także i dźwięki dzwonów dochodzą go przez grubą szybę.

Stephansdom. W lunatycznym odrętwieniu przedziera się przez odświeżony tłum, radosne pienia chórów, gorącą ulewę organów. Wspaniała i wystawna msza, mająca w sobie coś z opery i baletu. A gdy nastaje kojąca cisza i tylko jeden nieśmiały dzwonek rozlega się w oddali, znowu wraca do swego piekła: jestem chorobliwie przewrażliwiony; sam sobie stworzyłem urojony świat cierpień, jakich nie zaznałoby wielu innych ludzi na moim miejscu; powinienem się bronić przed własnym sumieniem, póki nie jest za późno; powinienem powstrzymać piętrzącą się falę w biegu; ale czy człowiek w ogóle może zapobiec jakimkolwiek nieszczęściu? Chociaż wiem, że Mauritius dokona na mnie wymiaru sprawiedliwości za t a m t o, modłę się o niespełnienie tej chwili. Spraw, Boże, by złowrogi oleodruk z lat dzieciennych pozostał tylko przywidzeniem; zatrzymaj rękę zawziętą, wzniesioną do ciosu nad spętanym; niech się okaże, że dobrobyt naszego domu i bezpieczeństwo mojej młodości nie wyrastają ani z grzechu ani ze zbrodni; ocal mnie przed hańbą...

Po południu obiegił wszystkie sąsiednie uliczki. Pograżony w myślach, zmieniał ławki w parku i do nowego zrywał się

biegu. Aż wreszcie wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił „pod Orła”.

— W bardzo ważnej sprawie! — powiedział.

W godzinę później, w dużym, mrocznym pokoju usłyszał wyrok z ust Mauritiusa. Siedział skulony w fotelu, z głową spuszczoną na piersi, z przymkniętymi oczami, ale rozumiał każde słowo.

— Nie bardzo wiem — zaczął Mauritius — do czego potrzebna panu ta wyprawa w głąb tamtego czasu. Podejrzewam jednak, że przywiodło pana tutaj coś więcej niż zwykła młodzieńcza ciekawość. I dlatego, panie...

— Praxmeyer, Artur Praxmeyer — po raz pierwszy w życiu zaparł się swego nazwiska.

— ...panie Praxmeyer, ach! my się przecież skądś... poznaję po kędzierzawej czuprynie — przypomniał sobie dopiero teraz, po wielu minutach. — Był pan kiedyś u mnie z profesorem Brandtem, dałem panu książkę... Gdzie to tylko było?

— W Bochum, w hotelu „Westfalen”.

— Słusznie. Powiem panu szczerze, panie Arturze (chyba wolno mi tak powiedzieć, mógłbym być pańskim ojcem), że cieszę się z tych odwiedzin. Upatruję w nich symbol pewnej zmiany, jaka, mimo wszystko, dokonana się w naszym społeczeństwie, zmiany na lepsze. Wy, młodzi, jednak jesteście od nas lepsi... Ale do rzeczy! — spojrzał na zegarek. — Za pół godziny przyjadą po mnie z tutejszego radia, mam wziąć udział w dyskusji przed mikrofonem...

— Strażnik Fritsch i „Tesch & Stabenow” — przypomniał.

— Słusznie. Chciałem napisać całe studium o Fritschu „Zabijace” doskonale. Zebrałem sporo materiału. Znam więc sprawę dokładnie, aż za dokładnie, i może dlatego nigdy jej nie opisałem. Pisarz nie może znać pewnych spraw za dokładnie: odbija się to na jego wyobraźni twórczej. Unikam dawnych towarzyszy niedoli także i dlatego, że ile razy mnie dopadną, zawsze mają do mnie dziesiątki najrozmaitszych pretensji, jakbym był zaprzysiężonym protokółantem tamtych wydarzeń. Ustalaniem faktów może się zająć każdy posterunkowy zapisujący swoje kulaski niezgrabnymi paluchami do notesu, natomiast...

Na co czeka? — zadygotał z zimna. — Dlaczego zwleka? Niech uderza jak najszybciej!

— „Knecht Ruprecht”, mówią mi z oburzeniem, nigdy nie był zastępcą komendanta obozu, zaledwie (!) miał krematorium pod sobą; stary Kalita nie mógł pracować w kartoflarni, skoro chodził z nami na „kommando”. To znowu wypominają mi czegoś i nie napisałem: „O takim zerze Seifercie rozpisałeś się na dwie strony, a o świętobliwym prałacie Opitzu nie wspominałeś ani jednym słowem”... Jeszcze inni odgrywają rolę suflerów, ci są najgorsi. „Powinieneś opisać tego adwokata z Gdańska, specjalistę od spraw spadkowych, który na widok nowego transportu z Warszawy, wychylił się z okienka na

ósmym bloku i powiedział: „Nie lubię Polaków. Miałem z nimi masę kłopotu jeszcze przed wojną. Należą do najnieporządniej umierających ludzi w Europie. Nigdy nie można było odnaleźć kluczyków od szuflad, spisów inwentarza, metryk i dokumentów, a niemal z reguły nie zostawiali po sobie testamentów; *polnische Wirtschaft*”. Albo: „Napisz o tej makabrycznej paniusi z lepszych sfer, Frau Drobnitz, która pytana w rok po wyjściu z piekła jak było w obozie, zawołała: „*Furchtbar!* Cały pobyt miałam zepsuty: ci straszni ludzie zamknęli mnie w jednym baraku z Żydówkami!” Albo...

Nie przyszedł tutaj, by wysłuchiwać ponurych anegdot.

— Strażnik Fritsch i „Tesch & Stabenow” — przypomniał niecierpliwie — jeśli pan taki dobry...

Słusznie — spojrzał na zegarek. — Ale o czym to tylko mówiliśmy? Aha! Broniąc świętego prawa pisarza do pisania „nieprawdy”, mogę jednak pana zapewnić, że to, co teraz powiem, jest aż nadto prawdziwe, oparte na wiarygodnych zeznaniach, dokumentach i tak dalej... Ale do rzeczy! Otóż Fritsch.

Gościwiec Fritsch, zwany również „królem rabarbaru” (gdyż jego drużyna namiętnością było ogrodnictwo), przyjechał do nas dość późno, zimą 43-go. Przeniesiono go ze wschodu, spod Lublina, w nagrodę za usprawnienie metod „likwidacji” w Polsce. Tak się wtedy mówiło. Ludzi nikt nie zabijał. Ludzi się „likwidowało”. Tylko laik wyobraża sobie, że masowe zgładzanie więźniów jest rzeczą łatwą. Potrzeba do tego dużych umiejętności, doświadczenia, nie waham się powiedzieć: talentu! Fritsch od dawna ubolewał nad niedoskonałością dotychczasowych sposobów. Pełniąc służbę w niejednym obozie, mógł się wykazać nie byle jaką wiedzą „z pierwszej ręki”. Mówił nam, że w obozie pod Lublinem używał z początku zwykłego gazu z silników samochodowych, który wpuszczał rurami do komór wielkości izdebki. W Oświęcimiu musiał się z razu posługiwać tlenkiem węgla, wpuszczanym do łaźni za pomocą pryszniców. Mówiąc jego językiem: „przepustowość stanów liczebnych” była niedostateczna, najwyżej po 300 ludzi dziennie...

Arturek czuje, że ręka wzniesiona do ciosu zaraz spadnie. Kurczowo wciska się w fotel...

— Zaczął się więc zastanawiać: jaki też środek był by najlepszy do wytrucia polskich, żydowskich czy cygańskich insektów? I wtedy przypomniał sobie, że firma „Tesch & Stabenow” fabrykuje gaz do tępienia robactwa, tak zwany „Cyklon B”...

Mój Boże! Fabryka trucizny!

— ...preparat kwasu pruskiego. Żadny awans „król rabarbaru” rozpoczął eksperymenty na własną rękę. Zaczął skromnie, od niedużego transportu jeńców rosyjskich. Dawniej zabijano ich po partacku („metodą chałupniczą” — jak mówił z pogardą), wystrzałami z pistoletów w żwirowni lub na dziedzińcu bloku 11. Dopiero Fritsch pierwszy, o czym mówił nam z nieukrywaną dumą, sięgnął po nowoczesne metody: pozamykał

jeńców w celach, położonych w piwnicach, i przy użyciu maski gazowej napuścił „Cyklonu B”...

Mój ojciec — huczy mu w głowie — mój Paps, fabrykant „Cyklonu B”...

— Jakie to dziwne — roześmiał się Mauritius — starzy Grecy opiewali miecze, zbroje i tarcze, a my nie opiewamy broni człowieka współczesnego: puszki „Cyklonu”... Posypały się gratulacje przełożonych, ale Fritsch nie miał zamiaru odpoczywać na laurach. Każdy początek jest trudny, mówił, gaz był za słaby, agonია więźniów w piwnicy przeciągnęła się do dwudziestu minut, a nie powinna była przekroczyć pięciu. Co robi ambitny Fritsch? Bierze urlop i natchniony swoją nową, życiową misją jedzie na zachód, do dyrekcji „Tesch & Stabenow”...

Arturek czuje łzy pod powiekami. Właściwie może już odejść, ale nie ma siły podnieść się z fotela.

— Dzięki jego staraniom, popartym, oczywiście, przez właściwe czynniki, firma organizuje masową dostawę nowego, silniejszego „Cyklonu” w skryzalizowanej formie, już gotowego do wrzucenia przez małe otwory do wnętrza komór śmierci. Fritsch spostrzegł w Oświęcimiu...

— ... też w Polsce?

— ...tak, też w Polsce. Otóż Fritsch spostrzegł tam, że czas dławienia się ofiar gazem w dużym stopniu zależy od warunków klimatycznych. Wobec tego firma udoskonala swój preparat. Powstaje niezawodny w działaniu „wetterfestes Zyclon B 1”....

Wszystko się zgadza: „Niech żyje wielki dobroczyńca ludzkości, dr Erich Ostermann, ojciec Arturka! Pierwszy człowiek, który pokonał śmierć! Niech żyje!”...

— Mając na uwadze niebezpieczeństwo, zagrażające niefachowej obsłudze, firma wysłała do obozów ekipy wyszkolonych chemików-trucicieli pod kierownictwem niejakiego Jelonke...

— Niejakiego Jelonke! — powtarza machinalnie.

— No, i potem poszło już jak z płatka: „przepustowość” zwiększyła się wielokrotnie, setki tysięcy ludzi zagazowano nową, ulepszoną metodą. Nie darmo świat sławi nasz niemiecki *Erfindungsgeist*. Z czasem Fritsch wyszkolił więźniów na „dezynfektorów” i fachowcy z firmy „Tesch & Stabenow”, zastąpieni własnymi siłami, wrócili do domu. To wszystko, czym mogę panu służyć!

„To wszystko”. Podrywa się do jeszcze jednej, ostaniej próby ratunku:

— Czy myśli pan, że ci... chemicy — z trudem łapie powietrze — mogli *nie wiedzieć* do czego służył ten preparat?

Zły śmiech Mauritiusa:

— Wiedzieli. Musieli wiedzieć. Ostatecznie nieźle zarabiali na tych dostawach. Fritsch powiedział kiedyś w przystępie dobrego humoru, że „likwidowani sami opłacają kosztą swej likwidacji” w... złotych zębach.

— Czy po wojnie żaden sąd nie ścigał tych... chemików?

— Obawiam się, że wszystko rozeszło się po kościach. Nie takie sprawy poszły w zapomnienie. Jeden z pierwszych filmów po wojnie nosił trafny tytuł: „Mordercy są między nami”. Podając dzisiaj rękę nieznajomemu, uśmiechniętemu panu w dystygowanym ubraniu, nigdy nie wiemy...

I naraz Arturek widzi swego uśmiechniętego, dystygowanego ojca w białym kitlu, w czarnej czapce z trupa główką. W jednej ręce Paps trzyma puszkę, a w drugiej zegarek. Podchodzi do zaryglowanych drzwi osmolonego bunkra, wspina się na palce, zagląda przez grubą szybę do wnętrza. Dokoła niego cychają na świeże ścierwo dziesiątki Fritschów i innych, mniejszych hien ściskających w pogotowiu obcęg do wyrwania złotych zębów... Paps okiem naukowca ocenia sytuację. A tam w krzyku, w kaszlu, w płaczu ludzie biją pięściami w drzwi i sufit, drapią beton paznokciami, wykrzywiają sine twarze, oczy wychodzą im z orbit, dławią się z pianą na ustach; kobiety zasłaniają sobą dzieci, owijają im główki ramionami; skowyt rośnie z każdą sekundą; kłębowisko nagich rąk, nóg i czaszek jeszcze pręży się, miota, nie chce zastygnać w bezruchu; chociaż tu i tam widać szczerzy grymas umierania... „Dopiero trzecia minuta — mówi Paps do dezynfektorów — Więcej „Cyklonu”! Uwaga na moją komendę: *Zwanzig Büchsen mehr!*”

Dosyć! — zasłania sobie Arturek oczy. — Dosyć!

Nie może dłużej milczeć. Zaraz się udławi własnym milczeniem. Musi wykrzyczeć ze siebie całą prawdę...

Podchodzi do Mauritiusa.

— Ja też jestem synem mordercy! — mówi ze spuszczoną głową.

Mauritius wstaje, by go otoczyć ramieniem, ale młodzieńiec wyrwa mu się z rąk i wybiega z pokoju.

W przedziale jest pusto i przeraźliwie zimno. Ogrzewanie musiało się zepsuć. Wagon skrzypi i jęczy. Na korzytarzu coś stukta monotonnie o ścianę, pewnie składane krzeselko konduktora obłużyło się na zawiasach. Arturek marznie. Nastawia kołnierz wiatrówki, zabija kilka razy rękami po żebrach, nie pomaga. Jedyne ciepło, jakie czuje w sobie, bucha spod czupryny i jest lepkie, można je zgarniać z czoła kroplami. Przykłada twarz do szyby, by ostudzić gorącą, kłującą go w oczach, i nowe zimno łapie go za plecy. Z trudem zbiera myśli...

Co się stało? Dokąd jedzie?... Uciekł! — przypomina sobie. Uciekł z łóżka na wiadomość, że ojciec przylatuje do Wiednia.. Ubrał się w pośpiechu, kilka drobniaków wrzucił do torby, wsunął portfel do kieszeni, ale już zegarka zapomniat na nocnym stoliku. Wykradł się tylnym wyjściem, nad samym ranem. Jeszcze latarnie płonęły na ulicach. Co tchu pobiegł do postoju taksówek. Pojechał na dworzec. — „Dokąd? — zapytał się kasjer z niedowierzaniem. — Czy to nie pomyłka?” — Nie! Nie pomyłka! — Pewnym głosem powtórzył trudną do wymówienia nazwę; powtarzał ją sobie od wielu godzin; nauczył się jej

na pamięć jak hasła do przekroczenia linii frontu. Położył garść banknotów na wytłuszczonej desce. — „Za dużo! — usłyszał głos w okienku. — *Mensch, Sie sind ja krank!* Czy nie lepiej zostać w domu?” — Ja m u s z ę tam jechać! — powiedział z mocą. Przypomina sobie jeszcze, że na peronie poczuł się znacznie lepiej. Pewnym krokiem przeszedł wzdłuż torów i zaczął sobie przykazywać: „Muszę wyzdrowieć! Muszę nabrać sił! Sił ducha i ciała. Sił do nowego życia! Nie jestem młodzieńcem, który z gromnicą w rękę i psalmem na ustach udaje się do pieca gorejącego. Nie jadę do jaskini lwa na pożarcie. Jadę spełnić swój obowiązek. To wszystko! Kto chce być wierny sobie — powtórzył własne słowa sprzed miesiąca — na stromą wchodzi drogę, ale tylko taka wiedzie w górę. Ja sam nakazuję sobie tę podróż, ja sam!”... Na widok nadjeżdżającego pociągu zawałał się jednak na moment, instynktownie chciał rzucić się do ucieczki...”. Innego wyjścia nie ma — przemógł się w ostatniej chwili — każde inne jest próbą obejścia własnego sumienia!” Poprzez kłęby pary przypadł do stóp wagonu, jak opadający z sił pływak do ratunkowej łodzi. Gdy pociąg ruszył, spostrzegł że nazwa dworca rozplywa mu się w oczach. „Żegnaj, ziemio mojej matki!” — westchnął ze smutkiem, i popadł w odrętwienie...

Przez jakiś czas po drugiej stronie siedziała starsza kobieta w wytartym futerku z królików i żuła coś głośno. Bodaj skórki od chleba. Walizki nie położyła na siatkę, trzymała ją na kolanach. Oczy miała czerwone, lśniąco, zupełnie kurze. — Dokąd jedzie? — pytała. — „Jak mógł się wybrać w podróż bez swetra? Może chce aspiryny?” — szukała jej w torbie i w walizce, ale nie znalazła. — A może mu ktoś bliski umarł? — napierała. — Tak, umarł... — skinął głową. Wtedy przestała żuć, zaplotła ręce nad walizką. *Armer Junge*... — powiedziała. Przez szczelinę w nieodmkniętym oknie wdarła się para. Najpierw nieduża smuga, potem rozrastający się bukiet, wreszcie cały obłok. I nagle twarz kobiety zmieniła się nie do poznania, zniknęła nabrzmiała krągłość, zajaśniał delikatny owal, czarne szkliwo wypełniło jej oczy... Gizela! — wyciągnął ręce. — *Denk im Traum, dass wir uns lieben*... Jadę z mamą do Neviges, do zaczarowanego Neviges na pielgrzymkę. Pojedź z nami!...

— Neviges? — zdziwiła się kobieta w futerku z królików — to w zupełnie innym kierunku!

Potem zasnął. Obudził go krzyk parowozu na jakiejś stacji i spostrzegł, że jest sam, kobieta wysiadła, a za szybą jeszcze nie dnieje. Przeraził się samotności, skurczył się w wiatrowym i próbował się modlić, jak wtedy, przed czarną płytą i marmurowym aniołem: daj mi, Boże, zrobić ze swego życia wielką i piękną rzecz, dodaj mi sił... Ale przerwał, gdyż złapał go za gardło żal tak silny że poczuł łzy w oczach: Anioł nie zawołał w ostatniej chwili z nieba i nie powstrzymał ręki wzniesionej do ciosu...

Wyjął z torby małą, zniszczoną książeczkę, pamiętkę z wędrowki na słoneczną górę. Otworzył na zaznaczonej stronie. W słabym świetle kolejowej żarówki wpatrywał się w żółtą kartkę...
...lusterko mego losu! — pomyślał.

Małe literki kłębiły się na papierze rojem czarnych muszek. Z wysiłkiem poustawiał je w rzędek:

„...tam zbudował ołtarz i ułożył na nim drwa, a związawszy Izaaka, syna swego, ułożył go na ołtarz, na stos drzew. I wyciągnął miecz, aby ofiarować syna swego. A oto Anioł Pański z nieba zawołał:

...więcej Cyklonu!

Głowę nakrył rękami, lecz im bardziej ją ścisnął, tym bardziej wypełniała się żarem. Czuł jak wraz ze strugami gorąca przepływają mu przez palce strzępy słów i twarzy...

Niech wypłyną — pomyślał — to czarna, zatruta woda... Na tamtym brzegu muszę się obmyć z mułu, wszystko zacząć od nowa, jeszcze raz przyjść na świat, ten sam, ale już kto inny...

Ala zanim spali mosty za sobą, raz jeszcze wraca myślą pod zadymione niebo, do czerwonego budynku z czarnymi sztachetami... Co też powie profesor Brandt, gdy za kilka dni dowie się, że jego najlepszy uczeń i pupilek... On jeden go rozumie! A Gizela? Czy domyśli się dlaczego tak postąpił, dlaczego musiał tak postąpić? Pewnie nie... A klub „Gorących Główn”? Czy warto się ludzi? Każdy żyje sobą... Hubert na pewno zabiśnie przy tej okazji nowym, dowcipnym powiedzeniem. Może nawet napisze artykuł do szkolnej gazetki, jeśli mu Oberstudiendirektor Malz pozwoli. Von Wickenberg oświadczy, że „sprawa Artura Ostermanna nie jest dla niego niespodzianką, od dawna ją przewidywał, decyzje tego typu są konsekwencją pewnej określonej postawy (w tym miejscu spojrzę na Brandta), co więcej: powinny być dla nas ostrzeżeniem na przyszłość”...

Nie myśleć! Turkot pociągu pcha się do gardła.

A co pomyśli sobie pewien niestrudzony budowniczy nowego życia na starych ruinach, wskrzesiciel wielu warsztatów pracy, fundator „Domów Dziecka” i stypendiów dla biednych studentów; co pomyśli sobie najbliższy mu człowiek, gdy którejś nocy chodzić będzie po pustej willi na Gartenstrasse? Kogo zacznie obwiniać? Brandta? Mauritiusa? Pfirsicha? Valentina? A może... siebie?

Nie myśleć? Zepsute krzeselko na korytarzu obija się o skronie.

Pastor Pfirsich powiedział kiedyś, że „w naszym, wolnym świecie dzieci nie denuncjują rodziców na policji; więź rodzinna jest silniejsza od ustanowionych przez ludzi przepisów, bo jest święta; i w tym właśnie, między innymi, wyraża się wyższość naszej humanistycznej i chrześcijańskiej moralności...”.

W imię tej „świętej więzi” — krzywi się gorzko — możesz spać spokojnie, mój biedny, ukochany Papsie. I ty, i wszyscy inni fabrykanci „Cyklonu B”. Jest nawet taka kołysanka:

„Zaśnij, wilku zębaty, oczka do snu zmrzu,
i nad tobą, zbrodniarzu, czuwa Anioł Stróż!”

Nie myśleć! Para z lokomotywu skrapla się na czole.

Próbuje wyjść z przedziału na korytarz, aby napić się wody, gdy nagle przykuwa go do ławki ostry dzwonek...

Słyszy telefon, świder pneumatyczny w tyle czaszki, i starczy dyszkant łamiący się ze strachu:

— „Robaczku! Już dzwoniłem do twego ojca w Bochum! Bierze samolot... już leci... zaraz tu będzie”...

— Nie chcę! — woła przerażony. — Ani Scharffa ani Fritscha ani Papsa w laurowym wieńcu!

— „Jessas, Jessas! — lamentuje stary. — Kto ci o tym wszystkim opowiedział? To miała być tajemnica. Ja ci tego nie chciałem opowiedzieć, robaczku. Przysięgłem twojej mamie, że nigdy...”

— Nieprawda! — krzyczy. — Mama o niczym nie wiedziała!...

Już nowa twarz odbija się w oknie wagonu. Grymas szyderstwa. I zły śmiech:

— „Masz rację! To wszystko nieprawda! Bronię świętego prawa pisarza do pisania nieprawdy! Twój Paps jest niewinny! Firma „Tesch & Stabenow” przesyłała nam ciastka z Wiednia! *Crème du jour* i *crème Grenoble*!

Ale już wjeżdżają z łoskotem na jakąś większą stację. Reflektor ślizga się po dworcowym parkanie. Oślepiające światło odsłania nerw oczny. Krótki, ostry ból w głębi oczodołów. Z każdego plakatu wyborczego spogląda w okno wagonu znajoma twarz z obłokiem słów w powietrzu, jak na odcinkach powieści rysunkowej. Pastor Pfirsich: *To trzeba wszystko naprawić! OSOBIŚCIE naprawić!*”...

— Nie mam siły! — woła — jestem chory!

Mauritius: „Tylko jeden człowiek może naprawić zło, a jesteś nim zawsze — Ty!”...

— Ja tego nie potrafię — powtarza. — Jestem za słaby. Jestem sam!

I trzeci plakat, największy ze wszystkich, krwią zadrukowany! Erich Ostermann: „Całą moją wiarę, nadzieję i miłość składam w ręce niemieckich dzieci. Głosujcie na Cyklon!”...

Próbuje zderzyć plakat z powiek, nie może — papier wrasta mu w skórę, farba wgryza mu się w oczy...

— Mój ojciec jest niewinny! — zrywa się z miejsca.

— „Nawet gdyby był niewinny — nachyla się nad nim Brandt, — pamiętaj, że inni są winni i ktoś musi tę zbrodnię wziąć na siebie”...

— Dlaczego właśnie ja? Ja miałem wtedy pięć lat...

— „Ale ty tęsknisz do świętości”...

— Anioł mi nie pomógł — skarży się — miecza nie zatrzymał w powietrzu. Cóż ja jeden zrobić mogę, bez niczyjej pomocy?...

Urywa, cofa się z krzykiem, bo oto drzwi rozsuwają się z trzaskiem i do środka wchodzi generał Scharff w rozpiętym palcie z czarnej skóry, z brylantem pod szyją. Świeci mu latarką prosto w ranę oczu...

— „Da ist er ja, der Verräter!” — podnosi skórzaną rękawicę w górę...

Nie może zasłonić twarzy, ręce ma związane na plecach.

— „Za wywieszenie białej flagi — masz!”

— Jestem niewinny! — słyszy swój głos. — Nikogo nie zdradziłem!

— „Za przejście na stronę wroga — masz! Gdzie jest Jelonke z obcęgami? — „Tutaj!” — melduje się Jelonke w czarnej czapce. Rdzę ma na kitlu.

— Zanim go rozstrzelamy... — mówi generał — wyrwać mu złote zęby!”

Ręka z obcęgami przysuwa się coraz bliżej, zaraz go skaleczy...

— Ja nie mam złotych zębów! — krzyczy. — Ratunku!...

— Ja wcale nie chcę od pana zębów — śmieje się nowy głos. — Poproszę o bilety!

Ociera pot z czoła. To konduktor z latarką, a nie Jelonke. A ten błyszczący przyrząd służy do dziurkowania biletów...

— Czy daleko jeszcze? — pyta.

— *Jeszcze kawalek. Gute Reise, junger Mann!*

Od pewnego czasu nikt już nie wsiada i nie wysiada. Chyba już niedługo... Za szybą z wolna się przersedza. Słupy telegraficzne wyłaniają się z siniego mroku. Widać mgiełkę nad łąkami. Pociąg trajkoce coraz wolniej. Na jeden stukot kół przypadają dwa uderzenia serca. Najwyraźniej pniemy się na wyżynę...

Znowu praży pod włosami. Wziął torbę i poszedł się umyć. Zapach ubikacji przyprowadził go o mdłości. W lustrze nie mógł poznać swej twarzy. Spoglądał nań obcy, zmęczony człowiek z rozmięzioną czupryną, z poparzonymi przez gorączkę oczami. Przykładał okłady do czoła, próbował ugasić ogień pod powiekami. Znowu zlapały go dreszcze.

— *Alles in Ordnung!* — dobiegł go przyćmiony krzyk z korytarza. — Cały wagon pusty! *Weiter... weiter... weiter...*

Nie miał siły wrócić do przedziału. Oparł się rękami o brudną porcelanę umywalni. Po środku czoła poczuł zimny ucisk śliskiego od mydła kranu. Tak trwał. Może minutę, może kwadrans, może dłużej...

Widocznie już dojeżdżają, a tu z głębi oczodołów żar przynosi się na skronie, owija mu głowę płomieniem, dostaje się do gardła. Szarpnął za kurek: ani jednej kropli więcej. Starł czołem wilgoć z matowej szyby, chciał otworzyć okno, napić się powietrza i całkiem opadł z sił... Obsunął się na zaśmieconą

podłogę i czekał na ratunek. Pociąg tymczasem przystanął, ruszył, znowu zwolnił i wreszcie rozdygotał się rytmicznie. Znowu składane krzeselko na korytarzu obija się o ścianę, turkot pryska twardo i równomiernie... Byłe dalej, jak najdalej — przyciskał czoło do wilgotnego kolana zlewu — zostawić przeszłość za sobą, wszystkie złe przywidzenia i majaki; dalej, wciąż dalej... Już za następnym zakrętem, za mostem, za lasem wyłoni się nowe, lepsze życie...

— W ustępie się jeden schował! — *Raus, raus!*

Wokoło jasno, już dzień. Podnoszą go za ramiona. Wyprowadzają na korytarz. Owiewa go zapach świeżo wygarbowanej skóry i wilgotnego sukna. Uderza w niego dźwięk obcej mowy.

— Papiery! — nachyla się nad nim człowiek w długim, wojskowym płaszczu.

I jeszcze trzech wyłania się z głębi korytarza. Czapki z podpinkami. Daszki do połowy twarzy.

— Nie schowałem się — uśmiecha się do żołnierzy. — Jestem chory.

— Paszport nie wystarcza — mówi wojskowy.

— Zaraz wszystko wyjaśnię... — z trudem łapie powietrze, nie wie, jak zacząć, a przecież jeszcze wczoraj w nocy układał sobie te zdania w głowie.

Dają mu się napić jakiegoś gorącego płynu z manierki. Od razu mu lepiej. Przypomina sobie pierwsze zdanie.

— Chciałbym choć w części naprawić zło, jakie wyrządzono wam w tej wojnie, te straszne zbrodnie, których dopuścili się moi rodacy... I dlatego...

— Papiery nie w porządku! — powtarza wojskowy.

— ...chcę jechać do Oświęcimia i tam pracować, ciężko pracować...

Wojskowy w długim palcie kartkuje i kartkuje.

— Wizy nie macie! — uderza ołówkiem w okładkę.

— ...uważam za swój obowiązek — mówi bliski płaszczu — za obowiązek sumienia... Pozwólcie mi, żebym mógł w waszym kraju...

Trzej z podpinkami pod brodą podchodzą bliżej. Jeden wzrusza ramionami. Drugi robi kółko na czole. A trzeci patrzy z niechęcią.

— Jakiś złodziejasek albo dezterter — mruczy pierwszy. — A może nastany?

— Może wariat? — powiada drugi.

— Diabeł go wie. Podejrzana historia — mówi trzeci.

Naradzają się między sobą. Szepcą coś w swoim języku.

— Wysiadać! — biorą go pod ramiona. — Na posterunek! Do sprawdzenia!

Po chwili prowadzą go do samochodu. Arturek zatacza się jak pijany. Dwaj barczyści żołnierze podtrzymują go za łokcie. Trzeci niesie torbę. Biorą go między siebie na tylne siedzenie. Szczęk motoru, skok na nierównej drodze i — już jadą! Minęli

zasięki z drutu i wartowniczą wieżę. Zimny pęd powietrza w otwartym wozie przynosi mu ulgę. Na zakręcie ma ochotę odwrócić głowę i raz jeszcze spojrzeć na siny pasek lasu na widnokręgu, na świat który zostawił za sobą, ale nie ogląda się, tylko zmrużonymi oczami patrzy wprost przed siebie — na pustą i wyboistą drogę. Między okrągłymi czapkami konwojentów widzi brzozy bez liści, łąki bez zieleni, niebo z ołowiu, smutek późnej jesieni...

— *Du... Niemiec — klepią go po łopatkach — nicht weinen! Willst du papierosa?*

A C H E V E D'IMPRIMER
LE 10 JANVIER 1959
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (18^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1959.

Extrait de la revue
mensuelle KULTURA
N° 1/135-2/136

